Dziś w numerze: Jaką ongiś byłam... • Kręte ścieżki turystyki • Po tamtej stronie Łaby • Lord Hau-hau • Stratford Upon Avon • Kwiecień • Zalążek cywilizacji • Recenzje • Wiersze • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 14 (376)
10. IV. 1966 r.
12 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

NIE MA CO UKRYWAĆ — JUŻ NAPRAWDĘ WIOSNA!

PRAWORZĄDNOŚĆ, BEZPIECZEŃSTWO, PORZĄDEK...

Rozmowa z komendantem Milicji Obywatelskiej m. Łodzi, pułkownikiem mgr Henrykiem Piotrowskim

Redakcja „Odgłosów" zwróciła się do komendanta Milicji Obywatelskiej m. Łodzi, pułkownika mgr Henryka Piotrowskiego, z prośbą o rozmowę na temat stanu bezpieczeństwa i porządku publicznego w Łodzi, w roku 1965 oraz kierunków działania Milicji Obywatelskiej w roku bieżącym.

ODGŁOSY: Jak można by zbilansować stan bezpieczeństwa i porządku publicznego na terenie m. Łodzi w roku 1965?

PŁK H. PIOTROWSKI: Rozpatrując stan bezpieczeństwa i porządku publicznego wyłącznie na podstawie danych statystycznych, trzeba by stwierdzić, że bilans roku 1965 dla łódzkiej milicji wypadł niekorzystnie. Zanotowaliśmy bowiem ogólny wzrost przestępstw o 7,4 proc. w porównaniu do roku 1964.

Spośród dokonanych przestępstw, najwięcej popełniono przeciwko interesom gospodarczym państwa oraz mieniu osób prywatnych. Znaczny ich procent przypada także na przestępstwa przeciwko władzom i urzędom oraz porządkowi publicznemu. Ogólna ilość zabójstw utrzymuje się w zasadzie na poziomie roku 1964, wzrosła natomiast ilość rozbojów, uszkodzeń ciała, bójek i pobić. Równocześnie notuje się niewielki spadek przestępstw o charakterze chuligańskim.

Statystyka kryminalna nie dostarcza jednak wyczerpujących informacji o wszystkich aspektach przestępczości oraz skuteczności działania organów milicji i dlatego nie może stanowić wystarczającego kryterium oceny faktycznego stanu zagrożenia. Chciałbym więc podkreślić, że mimo zarejestrowania w 1965 r. większej ilości czynów przestępczych, w dalszym ciągu utrzymuje się tendencja spadkowa przestępstw o dużej szkodliwości społecznej i znacznym ciężarze.

Spośród napadów rabunkowych tylko jeden popełniono przy użyciu broni — był to znany napad w lesie łagiewnickim na kierowcę taksówki. Jego sprawcy zostali ustaleni i skazani w trybie doraźnym na karę 15 i 12 lat więzienia. Pozostałe rozboje cechowała prymitywna technika działania oraz przypadkowość doboru ofiar. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w bezpośrednim związku z tymi przestępstwami pozostaje alkoholizm, gdyż prawie 80 proc. ofiar i sprawców w chwili popełnienia czynu było w stanie nietrzeźwym. Alkoholizm leży również u podłoża większości przestępstw w rodzaju bójek, uszkodzeń ciała, jak również przeciwko władzom i urzędom.

Prymitywna technika i niewielkie sumy strat cechują też większość dokonanych przestępstw przeciwko mieniu. I tak np. zanotowaliśmy zaledwie 6 włamań do obiektów uspołecznionych, w których wartość zagarniętego mienia przekraczała 50.000 złotych. Sprawcy tych włamań zostali ujęci, a znaczna część zrabowanego mienia odzyskana.

Stałe zmniejszanie się liczby przestępstw o znacznym ciężarze jest wynikiem systematycznych czynności profilaktyczno-operacyjnych, podejmowanych przez łódzką MO. Stosujemy także różnorodne przedsięwzięcia profilaktyczne w celu ograniczenia z pozoru drobnych przestępstw dokonywanych na szkodę osób prywatnych, zdając sobie sprawę, iż stanowią one dużą dolegliwość dla mieszkańców naszego miasta. Aby jednak nasze działania przyniosły zamierzone efekty, niezbędna jest pomoc całego społeczeństwa, wyrażająca się przede wszystkim we właściwym zabezpieczeniu własnych mieszkań, komórek i strychów, oświetleniu klatek schodowych i zamykaniu bram, co w dużej mierze utrudni dokonywanie przestępstw.

ODGŁOSY: Jak kształtuje się geografia tych przestępstw i co wpłynęło na ich wzrost?

PŁK H. PIOTROWSKI: Charakterystyka umiejscowienia przestępczości kryminalnej na terenie m. Łodzi wykazuje na przykład, iż rozboje i przestępstwa o charakterze chuligańskim występują znacznie częściej w dzielnicy Górna i Śródmieście, niż w pozostałych. Miejscami najbardziej zagrożonymi w okresie jesienno-zimowym są okolice lokali gastronomicznych, a w okresie wiosenno-letnim rejony peryferyjne, a zwłaszcza te, na których terenie znajdują się parki, lasy, kąpieliska itp. Kradzieżami z włamaniem natomiast najbardziej zagrożona jest dzielnica Bałuty.

Przyczyny wzrostu przestępstw kryminalnych niektórych kategorii na terenie naszego miasta są bardzo różnorodne i złożone. Pozwolę sobie jedynie zwrócić uwagę na niektóre aspekty tego zagadnienia.

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY URBANKIEWICZ

Paragraf sława i delirium

Jednym z najbardziej znanych adwokatów okresu międzywojennego był Stefan Kobyliński. Znał świetnie ówczesne obowiązujące prawo i genialnie wykrywał słabe jego punkty, sposób zaś, w jaki tego dokonywał zrodził wiele anegdot. Prezes Sądu Najwyższego, Supiński miał się wyrazić: „Kobyliński jest chlubą adwokatury a jednocześnie — jej zakałą".

Tę samą myśl Kobyliński ujął w inne słowa: „Mówią o mnie, że jestem świnią. Ale nie mogą zapomnieć o tym, co ja zrobiłem dla polskiego prawa". Widoczny w obu tych wypowiedziach moment pozytywny łączy się z faktem, że w Polsce międzywojennej obowiązywały ustawodawstwa trzech zaborców: Bürgerliches Gesetzbuch, rosyjski Swod Zakonow oraz Kodeks Napoleona. Zwłaszcza ten ostatni sprawiał prawnikom wiele kłopotów, stanowił bowiem szerokie ramy dla stosowania prawa i dopiero interpretacja poszczególnych przepisów oparta o orzecznictwo stawała się podstawą działalności sądów i adwokatury. Otóż prawniczy geniusz Kobylińskiego był przyczyną większości owych orzeczeń a nawet zmiany dotychczasowej interpretacji niektórych przepisów. Natomiast moment negatywny widoczny w obu wypowiedziach dotyczył innych cech tego znakomitego prawnika. Był niechlujny, jeśli idzie o wygląd zewnętrzny, skąpy i pił bez miary. Zdarzyło się, że na rozprawie sądowej zaczął — po pijanemu bronić powoda, choć go wynajął pozwany. Żona pozwanego przybiegła zrozpaczona do ówczesnego aplikanta, dziś adwokata K. Majkowskiego i dopiero ten zwrócił Kobylińskiemu uwagę na pomyłkę. Zupełnie niespeszony kontynuował przemówienie w ciągu jeszcze kilku minut, po czym przerwał, wyszedł na środek i oświadczył: „Tak bym przemawiał, gdybym występował w sprawie powoda. Ponieważ jednak występuję w sprawie pozwanego, będę przemawiał tak oto". I rozpoczął obronę własnego klienta, zbijając własne argumenty z poprzedniego wystąpienia.

Z bogatego zbioru anegdot związanych z jego nałogiem, warto przytoczyć te jeszcze. Na rozprawie, której przewodził sędzia Żabiński, obaj przedstawiciele stron, adwokaci Ogiński i Kobyliński zjawili się pijani. Sędzia wobec ich niedyspozycji sprawę odroczył na 3 dni. Kiedy po trzech dniach obaj przyszli jeszcze bardziej pijani, zrozpaczony zawołał: „Czy wyście się przez te trzy dni nie rozstawali?".

Jego skąpstwo wyrażało się w tym, że często zapraszał innych adwokatów na wódkę, później zaś płacił tylko za siebie i wychodził. A również tym, że w rozległej swojej praktyce korzystał przez cały dzień z taksówek, wieczorem zaś, z okrzykiem, że kierowcy to złodzieje, płacił tylko część należności i odchodził wśród klątw pokrzywdzonych.

I jeszcze jedna jego cecha — to to, co się potocznie określa mianem „dziwkarstwa".

Powyższy przegląd cech Kobylińskiego pozwala teraz na rekonstrukcję jego dnia pracy. Przed południem — sąd, potem obiad z wódką, kancelaria, kolacja z wódką, karty, kobiety, nad ranem na chwilę do siebie, chyba na poranną toaletę i... znów sąd. Sypiał w przerwach a często w czasie rozpraw, co mu bynajmniej nie przeszkadzało genialnie prowadzić przyjęte sprawy. „Ludzie mówią, że dużo piję, ale ja cały dzień ciężko pracuję, niech mi wolno będzie wieczorem być świnią".

Zaczął karierę przed pierwszą wojną światową i sławę znakomitego adwokata zyskał już wtedy, występując w najwyższych instancjach sądów rosyjskich a nawet nie-

Dalszy ciąg na str. 5

ZE ŚWIATA

XXIII Zjazd KPZR, w obradach którego wzięło udział 86 zagranicznych delegacji, wiele uwagi poświęcił problematyce międzynarodowej.

W referacie Leonida Breżniewa i wystąpieniu Andrzeja Gromyki mocno brzmiały zasady radzieckiej polityki zagranicznej.

„Związek Radziecki razem z innymi krajami socjalizmu — mówił Breżniew — realizował swoją politykę pod znakiem walki o rozładowanie napięcia, o utrwalenie pokoju, o pokojowe współistnienie państw o różnych ustrojach społecznych, o stworzenie takich warunków w życiu międzynarodowym, by naród każdy mógł się swobodnie rozwijać drogą postępu narodowego i społecznego".

W rezultacie tej polityki, której towarzyszy uznanie międzynarodowego autorytetu Związku Radzieckiego, oddziaływał on w znacznym stopniu na rozwój sytuacji na świecie, a nawet podjął się misji mediacyjnej w niebezpiecznym konflikcie indyjsko-pakistańskim, doprowadzając do spotkania przywódców obu skłóconych krajów w Taszkiencie. Było to wydarzenie wielkiej wagi politycznej, o skutkach znacznie szerszych niż tylko sprowadzających się do rozładowania konfliktu między obu krajami.

Mimo rozległego działania Związku Radzieckiego w kierunku pokoju — świat nie jest jednak wolny od groźnych, zapalnych ognisk, wśród których przede wszystkim wymienić trzeba Wietnam i Niemcy zachodnie.

Obu tym pilnym zagadnieniom poświęcono na XXIII Zjeździe KPZR wiele uwagi.

W Wietnamie Stany Zjednoczone zabrnęły daleko. Z niektórych wypowiedzi polityków amerykańskich, coraz liczniejszych na ten temat artykułów prasowych, a przede wszystkim wyników ankiety, przeprowadzonej w USA, widać duże zniecierpliwienie obecną sytuacją. Wielu ludzi zadaje sobie pytanie, jakie z niej znaleźć wyjście?

„Odpowiedź na to pytanie — mówił z trybuny Zjazdu min. Gromyko — nie jest trudna: USA powinny wycofać z Wietnamu swoje wojska, niezwłocznie zaprzestać zbójeckich działań przeciwko DRW. Powinny one zaprzestać naruszania genewskich porozumień w sprawie Indochin i elementarnych norm prawa międzynarodowego".

Związek Radziecki w całej rozciągłości popiera te rzetelne podstawy uregulowania obecnej sytuacji.

W polityce ZSRR szczególne miejsce zajmuje Europa, a w niej Niemcy. Stanowią one bowiem jeden z głównych elementów problemu bezpieczeństwa. Niestety, Niemcy zachodnie hasłem swej polityki zagranicznej uczyniły odwet za porażkę poniesioną w II wojnie światowej i z tej „zasady" wyprowadzają swe koncepcje polityczne. Nawet rozreklamowany jako dokument „dobrej woli", ostatnio przedstawiony w notach do ponad 100 krajów, program Erharda — mówi o istnieniu Niemiec nadal w granicach z 1937 roku.

Ustosunkowując się do tej noty — była to więc jakby pierwsza na nią odpowiedź — min. Gromyko oświadczył:

„... żaden słup graniczny w Europie nie potrzebuje błogosławieństwa tych, którym nie podobają się wyniki wojny. Sprawa granic w Europie została rozstrzygnięta ostatecznie i bezpowrotnie. Granice państwowe naszych przyjaciół i sojuszników są tak samo pewnie zabezpieczone, jak nasze własne".

* * *

Zjazd KPZR zwrócił oczywiście uwagę wszystkich komentatorów. Tuż przed jego rozpoczęciem próbowano wmówić czytelnikom prasy zachodniej, że przyniesie on zmiany w generalnej linii Związku Radzieckiego zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. Wiele spekulowano na przykład na temat Wietnamu i Chin, stosunku do Niemiec zachodnich. Oczywiście, wszyscy, którzy bawili się w te przepowiednie, chodzą dziś wielce strapieni. Spekulacje spaliły na przysłowiowej panewce.

Manifestacja solidarności z walczącym Wietnamem, poszukiwanie dróg złagodzenia rozbieżności z Chińską Republiką Ludową, mocne słowa pod adresem rewizjonistycznej polityki Bonn — przyniosły im gorzkie rozczarowanie.

Odnosi się to w pełni również do polityki wewnętrznej Związku Radzieckiego.

„Propaganda imperialistyczna — pisze „Prawda" z dnia 1 bm. — podejmowała wiele spekulacji, aby wynaleźć w ZSRR jakąkolwiek „recydywę zjawisk kultu jednostki". Zjazd ponownie mocno podkreślił znaczenie leninowskich norm i zasad życia partyjnego oraz znaczenie praworządności socjalistycznej. Kult jednostki, wszystko, co przeszkadza w rozwoju, zostało zdecydowanie odrzucone".

* * *

Wysokie zainteresowanie prasy światowej XXIII Zjazdem KPZR nie pozostawiło na jej łamach miejsca na obszerniejsze skomentowanie wyników wyborów w W. Brytanii. Tymczasem — jak nasi Czytelnicy wiedzą z doniesień agencyjnych — Wilson i jego partia uzyskali zdecydowaną przewagę, wyrażającą się w stosunku do konserwatystów różnicą 110 mandatów.

Tak wysokiej wygranej raczej nikt nie oczekiwał.

Jakie to może mieć następstwa w dziedzinie międzynarodowej?

Wydaje się, że W. Brytania będzie teraz mogła aktywniej wkroczyć w politykę zagraniczną Zachodu. Możliwości odegrania pozytywnej roli przez labourzystowski rząd są oczywiście znaczne: i w Wietnamie, do czego zobowiązuje W. Brytanię funkcja wiceprzewodniczącego konferencji genewskiej w sprawie Indochin, i w Europie, zgodnie z wielokrotnie powtarzanym przez Wilsona oświadczeniem, że przeciwny jest stworzeniu sytuacji, w której zachodnioniemiecki palec spoczywałby na spuście nuklearnym.

Wynik wyborów daje więc Wilsonowi poważną szansę. Czy z niej skorzysta?

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

● **Inicjatywy prezydenta de Gaulle'a zmierzające do wycofania baz amerykańskich z terytorium Francji, śledzone są z niesłabnącym zainteresowaniem w kołach ONZ. Uważa się tam, iż decyzja Paryża stanowi cios wymierzony w ogóle przeciwko bazom wojskowym na obcych terytoriach. Wielu dyplomatów w ONZ ocenia to posunięcie Francji, jako zwrócenie uwagi Narodów Zjednoczonych na problem baz wojskowych oraz zachętę dla krajów, na terytoriach których znajdują się obce bazy wojskowe, by domagały się całkowitej suwerenności i niezależności.**

● Radziecką „Prawda" tak charakteryzuje reakcje prasy zachodniej na obrady XXIII Zjazdu KPZR: zasadniczy kierunek komentarzy w prasie burżuazyjnej można „scharakteryzować jednym słowem: strapienie. Tak, właśnie taka jest pierwsza reakcja naszych przeciwników. Strapiło ich całkowicie fiasko przepowiedni, które głosiła ta prasa na temat XXIII Zjazdu.

● **Sekretarz lotnictwa USA, Harold Brown, oświadczył, iż natężenie amerykańskich akcji lotniczych w Wietnamie, mierzone ilością bomb, rakiet oraz amunicji z broni pokładowej — jest większe niż w kulminacyjnym punkcie wojny koreańskiej.**

● **55 proc. obrotów w jugosłowiańskim handlu zagranicznym przypada na kraje strefy dolarowej, 35 proc. na kraje socjalistyczne i około 10 proc. na kraje rozwijające się.**

● Według informacji Agencji France Presse 58 proc. Francuzów nigdy nie kupuje książek. 75 proc. wydanych dzieł trafia tylko do 14 proc. ludności. Z materiałów opublikowanych przez Stowarzyszenie Wydawców wynika, że biblioteki francuskie wypożyczają przeciętnie 2 pozycje książkowe rocznie na głowę jednego mieszkańca.

● **W roku 1965 Czechosłowację odwiedziło 3.710 tysięcy turystów zagranicznych, w tym 744 tysiące z zachodniej Europy. Z NRF odwiedziło Czechosłowację 190 tysięcy osób.**

● **Wybitny ekspert do spraw azjatyckich prof. Owen Lattimore oświadczył w czasie konferencji prasowej, iż polityka rządu prezydenta Johnsona wobec Chin Ludowych i Wietnamu jest produktem umysłowego izolacjonizmu i fanatyzmu. Trudno zrozumieć — powiedział prof. sinologii na uniwersytecie Leeds — że przy całej tej gadaninie na temat groźby chińskiej, nikt nie stwierdził dotychczas obecności choćby jednego żołnierza chińskiego poza granicami Chin, podczas gdy potężne siły amerykańskie działają w odległości tysięcy mil od swego kraju.**

● Pomiędzy historykiem Arthurem Schlesingerem a sekretarzem Stanu Deanem Ruskiem istnieją zadawnione urazy, wywodzące się od czasu, kiedy Schlesinger w opublikowanej książce „Tysiąc dni Johna Kennedy'ego" ostro skrytykował Ruska. Na niedawnym przyjęciu w Waszyngtonie podczas którego zebrani goście powstaniem z miejsc zgotowali Ruskowi owację, Schlesinger ostentacyjnie siedział na swym fotelu. „Arthurze — zapytał po bankiecie prezydent Johnson historyka — czyżby z krzesłem, na którym pana posadzono było coś nie w porządku?"

● **Przywódca konserwatystów brytyjskich Heath: Z nami czy bez nas Europa stanie się jednym z wielkich mocarstw przemysłowych świata. Jeśli nie przystąpimy do Europy, okaże się pewnego dnia, że jesteśmy niewielkim krajem sąsiadującym z wielkim mocarstwem.**

● **Przywódcy polityczni partii gaullistowskiej niezadowoleni z przebiegu ostatniej prezydenckiej kampanii wyborczej pragną zastosować skuteczniejsze metody oddziaływania na opinię publiczną. Mówi się o środkach, które stosował Lecanuet, nazwany francuskim Kennedym w czasie kampanii prezydenckiej zmuszając de Gaulle'a do wystąpienia w drugiej turze wyborów powszechnych. Oblicza się, że koszty związane z nowymi metodami oddziaływania na opinię publiczną wyniosą 150 tysięcy funtów szterlingów. Dwóch deputowanych gaullistowskich udało się ostatnio do Anglii celem przestudiowania angielskich metod wyborczych.**

● W Londynie mówi się o nowych warunkach związanych z ewentualnym przystąpieniem W. Brytanii do Wspólnego Rynku. Doradcy premiera Wilsona sądzą, że Francja pragnęłaby ostudzenia entuzjazmu Brytyjczyków wobec NATO, a kiedy W. Brytania wejdzie w skład EWG, rozluźnienia jej więzów ze Stanami Zjednoczonymi.

● **W komisjach jugosłowiańskiego Zgromadzenia Narodowego i prasie omawiany jest projekt ustawy o handlu zagranicznym zakładający dalszą liberalizację stosunków handlowych z zagranicą, poprzez faktyczne zniesienie monopolu handlu zagranicznego. Ustawa przewiduje między innymi, że praktycznie każde przedsiębiorstwo przemysłowe będzie mogło zajmować się handlem zagranicznym.**

● **Według danych zachodnioniemieckiego instytutu przemysłowego, w 1965 roku na pierwsze miejsce wśród krajów kapitalistycznych pod względem tempa wzrostu eksportu wysunęła się Japonia. Na następnych miejscach uplasowały się Włochy i Belgia. W cyfrach absolutnych wyrażających rozmiary eksportu na pierwszym miejscu znajdują się Stany Zjednoczone (19,73 mld dolarów), drugim NRF (13.81 mld dolarów), trzecia Anglia, czwarta Francja.**

● W światowej statystyce przyrostu naturalnego Węgrzy zajmują ostatnie miejsce. 19 proc. mieszkańców Budapesztu to emeryci i renciści. Jeśli wskaźnik urodzeń nie podniesie się — pisze z troską jeden z węgierskich pisarzy, to za 15 lat 30 proc. mieszkańców stolicy węgierskiej stanowić będą emeryci i renciści.

● **W prasie ChRL trwa okres wzmożonej kampanii socjalistycznego wychowania społeczeństwa. Szereg publikacji prasowych wskazuje na konieczność reedukacji warstwy inteligencji poprzez rozwój studiów nad dziełami Mao Tse-tunga i uczestnictwo w pracy fizycznej. „Studiując ideę Mao i pracując fizycznie — pisze agencja Sinhua — pisarze i artyści kształtują swój socjalistyczny światopogląd. Aby osiągnąć ten cel wielu z nich musi całkowicie zmienić swoje dotychczasowe poglądy, umocnić postanowienie doprowadzenia do końca przemian swych myśli i wyobrażeń, walczyć wytrwale przeciwko indywidualizmowi, zdusić chęci zdobycia indywidualnej sławy i korzyści materialnych".**

● Z uniwersytetu armeńskiego w Erewaniu usunięto 32 studentów, ponieważ — jak pisze „Komsomolska Prawda", wpisani zostali na listy studentów nielegalnie z wykorzystaniem wpływowych koneksji, a nie z racji rzeczywistych umiejętności. Rektor uniwersytetu i dwaj członkowie kierownictwa uczelni otrzymali napomnienia od republikańskich władz oświatowych.

● **Brytyjski minister finansów podał do wiadomości decyzję rządu o wprowadzeniu dziesiętnego systemu monetarnego z początkiem 1971 roku. Funt szterling składał się będzie ze stu jednostek monetarnych, którymi będą prawdopodobnie centy.**

● **Premier Indii Indira Ghandi, oświadczyła w czasie swej wizyty w Stanach Zjednoczonych, iż kraj jej byłby w stanie już teraz produkować bombę jądrową. Jednakże India nie przyłączy się do wyścigu zbrojeń nuklearnych, gdyż głosi zasadę niezaangażowania.**

● **Na apel rządu kubańskiego ponad 200 tysięcy ochotników wyjedzie do pracy na plantacjach trzciny cukrowej w dniach od 2 do 17 kwietnia, Kuba w ten sposób czcić będzie piątą rocznicę zwycięstwa nad wojskami najemników w Zatoce Świń.**

● **Harold Wilson jest wesoły, pogodny, bezpośredni... zapewniali rzecznicy Partii Pracy w wystąpieniach tuż po przemówieniu Wilsona na jednym z wieców przedwyborczych w Londynie. Nagle jednak wesołość znikła z twarzy Wilsona. Rzucony z widowni przedmiot ugodził premiera. Następnego dnia do biura Wilsona wpłynął list z usprawiedliwieniem od przestępcy — 14-letniego chłopca, który, wyjaśniała matka, „nie wie jak odróżnić labourzystów od konserwatystów". „Z takimi umiejętnościami — rzekł Wilson — chłopiec ów powinien znaleźć się w narodowej drużynie krykieta".**

(„Die Welt")

Często najlepszy nawet psychiatra jest bezradny wobec chandry kobiecej, z której z łatwością może wyleczyć przeciętny fryzjer.

MARY MCCARTHY — pisarka

Najgorsze w postępującym wciąż procesie skracania dnia pracy jest to że najwięcej wolnego czasu mają ci, którzy nie wiedzą, co z nim począć.

CLEVELAND AMORY — publicysta

OPERACJE PRZECIWDESANTOWE

To, co o młodzieży piszą bardzo poważne tygodniki, przypomina nieco walkę z desantem nieprzyjaciela. My tu sobie, proszę państwa, żyliśmy do niedawna jeszcze bardzo spokojnie, póki nam tego desantu nie zrzucono. My, ludzie stateczni, dorośli, spadkobiercy wszystkiego, co od tysiąca lat uchodzi za najlepsze. Aż nagle, nie wiadomo skąd, rzucono na ten kraj kilkumilionowy desant ludzi obcych, tyle tylko, że młodych i mówiących naszym językiem.

Obcych? Bardzo nawet, bo my tu, w starym kraju ludzie cudownie łagodni, a oni — jak słusznie zauważa jeden z nas starszych i statecznych — pan Jerzy Lovell — „mięczacy do bicia w mordę tylko kupą, w gangu, hermafrodyci z babskimi grzywami, bagienko prywatkowo-kawiarniane, półświatek półgłówków". My tu, w bardzo starym kraju, przyzwyczajeni do samych cnót. Za naszych młodych lat uczyliśmy się znakomicie, a oni podrabiają świadectwa, nikt nikogo nie uderzył w ciemnej ulicy, a oni czyhają za rogiem z cegłami, nikt nie mówił brzydkich słów, jak się kiedy jaka „cholera" trafiła, albo skromna „psiakrew", to tylko przez pomyłkę, a oni rzucają wiązankami tak głośno, że zarazili nimi naszych szoferów, użytkowników uspołecznionej gastronomii, robotników i majstrów budowlanych, a nawet niektórych prozaików, którzy idąc za ich wzorem zaszli ostatecznie do „kicia". Niesłychane, przecież jeszcze nigdy tak nie było. Z takich jak my był Głowacki, na nas z nieba sam Kościuszko patrzy!

Ten desant straszliwy chwyta się wszystkich środków byle tylko dopiąć swego. Tak twierdzi jedna z wielu nauczycielek, której obserwacje publikuje „Kultura" w ostatnim numerze. Nie wpuszczacie ich na film — to sobie pójdą na ulicę i będą chuliganić. Zwracacie im uwagę, że trzeba się uczyć — uciekają z rodzicielskiego domu. Desant, desant obcych ludzi! Przecież w naszej tradycji czegoś podobnego darmo szukać. Pewną ciotkę nauczyli ci skoczkowie kraść — o czym czytamy właśnie w „Kulturze". Ta biedna kobieta wynosiła im z biura: „zeszyty, notatniki, notesy, wkłady do długopisów, papier, kalkę, czyste kwity, bloczki" — słowem samo mienie państwowe. Gdzież czego podobnego szukać u pokolenia, które jest krwią z krwi oraz kością z kości Piasta i Rzepichy? Czy zdarza się u nas jakiekolwiek przywłaszczenie, jakieś manka, niedobory kasowe itepe? A skądże! Nas uczył prawości sam Zawisza.

Przykład owej ciotki, którą młodzi desantowicze zmusili do kradzieży, bardzo jest wymowny i wiele wyjaśnia. Desant został zrzucony z określonym zadaniem — rozbroić, odebrać rynsztunek moralny i kodeks honorowy, odebrać — oczywiście — nam strażnikom ołtarzy. Pozbawić idei, uczuć, zniechęcić do pisania wierszy — jeżeli dobrze rozumiem niektórych publicystów, koncertujących przy pomocy alarmowej trąbki. I rzeczywiście, destrukcyjne działanie desantu na zdrowe dotąd moralnie społeczeństwo przynosi opłakane wyniki. Zbliżamy się do absolutnego rekordu w spożyciu alkoholu i to nie w skali jakiejś tam części niewielkiego kontynentu, lecz w skali ziemskiego globu. Wiadomo, kto jest sprawcą. Już drugi rok mija, jak ujawniono zarazę, która przedostała się do naszych mięs i wędlin. Setki, jeżeli już nie tysiące ongiś uczciwych ludzi dorosłych, powędrowało za kratki. Wiadomo, kto jest sprawcą. Nasze urzędy celne i MO z roku na rok zatrzymują coraz więcej szmuglowanych towarów. Przy chwycony szmugiel wart był w roku 1959 tylko 40 milionów złotych, w 1961 roku już około 80 milionów, obecnie znacznie przekracza 100 milionów złotych. Wiadomo, kto jest sprawcą. Desant, młodzieżowy desant, boć przecież my jeździmy do Paryża tylko po kulturę, jak Zygmunt Podfilipski, jak nasi przodkowie.

Tragiczny przykład cioci kradnącej mienie państwowe na potrzeby desantu, zmusza nas do wniosków znacznie ostrzejszych niż proponują publicyści. Naszym zdaniem nie ma innej rady — młodość powinna być karalna, po prostu i zwyczaj nie karalna. Kto jest młody — sam sobie winien, ponieważ my z młodzieżą nie mamy nic wspólnego, nie chcieliśmy takiej młodzieży, nie wiemy nawet skąd się wzięła. „Wytrzaskać" i „wychlastać", jak radzi publicysta „Życia Literackiego" to stanowczo za mało. Na początek należałoby wszystkich ubrać w jednakowe mundurki, sfotografować en face i z profilu, pobrać odciski palców i grupę krwi, następnie zebrać i kazać przeczytać na głos wszystko, co o nich napisano i polecić im, żeby się tego nauczyli na pamięć. Odpytywać zaś wszędzie — w szkole, na ulicy, w domu, przerywać seanse w kinach i odpytywać. Rano, we dnie, wieczór, w nocy. Powinno poskutkować.

Wiesław Jarosiński

PRAWORZĄDNOŚĆ, BEZPIECZEŃSTWO, PORZĄDEK...

Dalszy ciąg ze str. 1

W wyniku realizacji dekretu amnestyjnego, na przełomie lat 1964/65, powróciło na teren miasta szereg zwolnionych z zakładów karnych osób, w stosunku do których nie zawsze czynności resocjalizacyjne tych zakładów i MO odniosły pełny skutek. Część z nich ponownie weszła na drogę przestępczą.

W roku 1965 nie okazaliśmy właściwego zainteresowania pewnym grupom potencjalnych sprawców przestępstw, mianowicie zdrowym, pozostającym w wieku produkcyjnym osobom nie pracującym.

Uzyskane wyniki przeprowadzonych przez nas w tej mierze badań, wykazały wysoki stopień zagrożenia ze strony tego środowiska dla stanu bezpieczeństwa i porządku, ponieważ w kolizję z prawem weszło około 70% badanych osób nie pracujących. Przy czym znamienna jest antyspołeczna postawa wymienionych, spośród których przytłaczająca większość wykazywała zdecydowaną niechęć, a nawet wstręt, do podjęcia pracy zarobkowej. Mamy zatem do czynienia już nie z potencjalnym, a rzeczywiście istniejącym niebezpieczeństwem działalności przestępczej osób stale pozostających bez pracy.

Obecnie, realizowane przez nas czynności profilaktyczne w stosunku do tych osób, zmierzają w pierwszym rzędzie do ich zatrudnienia.

Należy również wskazać, że przestępczości kryminalnej, a szczególnie w dokonywanych kradzieżach z włamaniem, sprzyja w ogromnej mierze niedostateczne zabezpieczenie niektórych obiektów sklepowych oraz niejednokrotnie brak właściwego oświetlenia ulic w ich pobliżu, np. nie okratowane pawilony wolnostojące oraz położone na peryferiach miasta sklepy i kioski.

ODGŁOSY: Czy kategoria przestępstw pozostaje w jakimś związku z wiekiem przestępców?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Niestety, wspólnym mianownikiem dla wielu kategorii przestępstw kryminalnych jest młody wiek ich sprawców. Mimo różnorodnych działań profilaktycznych, podejmowanych przez MO i zainteresowane instytucje i organizacje, w dalszym ciągu utrzymuje się stosunkowo wysoki udział nieletnich w takich przestępstwach, jak rozboje, bójki, czyny o charakterze chuligańskim, włamania i kradzieże.

Od szeregu lat obserwujemy zjawisko obniżania się górnej granicy wieku przestępców. Miejsce wysoko specjalizowanej kadry przestępczej, w zasadzie nigdy nie odstępującej od swego modus-operandi, zajęli przestępcy o niesprecyzowanych, że się tak wyrażę, „upodobaniach": — raz dokonują rozboju, a przy następnej okazji — włamania lub kradzieży. Wyjątek stanowią jedynie złodzieje kieszonkowi, od szeregu lat wierni swej specjalizacji, i podejmujący niekiedy działalność przestępczą mimo wnikliwej inwigilacji z naszej strony.

ODGŁOSY: Jaki jest procent wykrywalności przestępstw?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Wykrywalność przestępstw kryminalnych kształtuje się w Łodzi w granicach 75 proc. Stan taki utrzymuje się od kilku lat. Trzeba przy tym zaznaczyć, że wykrywalność przestępstw o dużej szkodliwości społecznej jest wyższa, np. wykrywalność sprawców rozbojów wynosi 85 proc. Przy dużej anonimowości w warunkach Łodzi, jako ośrodka wielkomiejskiego, o największym zaludnieniu na km² w kraju, sytuacja ta zasługuje na podkreślenie, gdyż porównanie naszych wyników w tym zakresie z innymi miastami tej miary wypada dla nas korzystnie.

ODGŁOSY: Jak można by scharakteryzować stan w zakresie przestępczości gospodarczej?

PŁK. H. PIOTROWSKI: W dziale przestępstw na szkodę gospodarki narodowej zanotowaliśmy w roku ubiegłym nieznaczny wzrost ilości wszczętych postępowań o zabór mienia. Odnotowaliśmy przy tym zmiany, polegające na zmniejszeniu się liczby przypadków tzw. drobnych kradzieży (straty do 300 zł) i wzrostu liczby ujawnionych przestępstw o stratach jednostkowych od 300—20.000 złotych i wyższych. Wydaje się, że przyczyn takiego stanu rzeczy szukać należy w zwiększonej aktywności organów MO, kontroli wewnętrznej i zewnętrznej, administracji gospodarczej zakładów i wreszcie całych załóg przedsiębiorstw i instytucji. Zwłaszcza wzrost zainteresowania ochroną mienia społecznego POP, Rad Zakładowych i Samorządów Robotniczych wpływa na rozwijanie form jawności życia gospodarczego, sprzyja ujawnianiu niedopatrzeń organizacyjnych oraz powoduje szybsze ujawnianie faktów przestępczej działalności poszczególnych osób czy grup.

ODGŁOSY: Wiadomo ogólnie, iż w łódzkich lokalach, mimo wielu przepisów o zwalczaniu alkoholizmu, pewna część młodzieży nadużywa trunków. Skutki znamy. Czy organa MO zastosują w tym zakresie jakieś środki profilaktyczne i represyjne?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Z codziennej praktyki wiemy, że taki zarzut dotyczyć może tylko waskiego marginesu młodzieży, określanej powszechnie mianem trudnej, która pozostaje najczęściej poza nauką i pracą, spędzając w lokalach większość wolnego czasu.

W tym miejscu chciałbym poruszyć wielokrotnie już omawiany problem wciąż jeszcze niedostatecznej w Łodzi ilości miejsc kulturalnej rozrywki i właściwego spędzania wolnego czasu. Mam tu oczywiście na myśli kluby młodzieżowe, świetlice, domy kultury itp. Celowe wydaje się również poddanie pod społeczną dyskusję problemu objęcia patronatami przez władze szkolne i organizacje ZMS lokali, w których bawi się nasza młodzież.

Organa łódzkiej milicji angażowały się, i angażują, w walkę z nadużyciem alkoholu oraz nałogowym alkoholizmem. Uważamy bowiem, iż alkoholizm jest jednym z głównych źródeł przeróżnych konfliktów, kończących się najczęściej występkiem lub wykroczeniem. Stąd też przeciwdziałanie pijaństwu traktujemy jako zapobieganie przestępstwom, wykroczeniom, wszelkim przejawom naruszania spokoju i porządku publicznego, a zatem i jako ograniczenie chuligaństwa.

Wiele uwagi poświęcamy przestrzeganiu przepisów Ustawy o zwalczaniu alkoholizmu przez personel placówek gastronomicznych, organizując narady, spotkania i rozmowy ostrzegawcze. Ponadto, przy współudziale PIH i czynnika społecznego, organizujemy częste kontrole w lokalach gastronomicznych i rozrywkowych. Na wniosek Komendy MO m. Łodzi w 19 lokalach gastronomicznych ograniczono podawanie alkoholu przez bufety w czasie od godz. 18 do zamknięcia lokalu. Również na nasz wniosek, w niektórych kawiarniach, wprowadzono zakaz sprzedaży tanich win, a w niektórych kioskach wolnostojących — piwa.

Mimo to w dalszym ciągu notujemy wiele przypadków rozpijania ludzi w lokalach gastronomicznych. Zaszła więc konieczność podjęcia nowych i celniejszych środków, zarówno profilaktycznych jak i represyjnych. Przeprowadziliśmy już określone badania i jesteśmy przekonani, iż w bieżącym roku odnotujemy bardziej istotne zmiany w tym zakresie.

ODGŁOSY: W odczuciu mieszkańców naszego miasta dotkliwe pobicie spokojnego przechodnia, często do utraty przytomności, przez grupę rozwydrzonych awanturników, nie jest „chuligaństwem", a po prostu jednym z przejawów bandytyzmu. Jaki punkt widzenia na tę sprawę mają organa MO — to po pierwsze, i po drugie — czy milicja łódzkiego garnizonu zaostrzy walkę z tą uciążliwą plagą?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Przede wszystkim pragnę wyjaśnić, iż zgodnie z obowiązującymi u nas normami prawnymi, chuligaństwo nie jest przestępstwem samoistnym. „Chuligaństwo" jest określeniem kwalifikowanego typu przestępstwa ze względu na „cel", do którego sprawca dąży oraz brak jakiejkolwiek racjonalnej pobudki działania sprawcy czynu. Ta właśnie kwalifikacja przestępstwa, jako chuligaństwo, znajduje swój wyraz tylko w wymierzaniu sprawcy surowej kary, ale tylko w granicach przewidzianych dla danego przestępstwa. Mówiąc prościej, sprawcy odpowiadają przed sądem „z artykułu", który czynem swoim naruszyli, a chuligański charakter przestępstwa jest dodatkową okolicznością **obciążającą.**

Prawda jest, że w odczuciu szerokich rzesz naszego społeczeństwa istnieją tendencje zamiennego używania terminów „bandytyzm" i „chuligaństwo". Są one niesłuszne, gdyż każdy z tych terminów ma inny zakres znaczeniowy. Znaczenia tych terminów są jednak mało znane, co powoduje, że niejednokrotnie czyny o charakterze chuligańskim określa się mianem bandytyzmu.

Chciałbym więc wyjaśnić, że w znaczeniu prawniczym termin „bandytyzm" oznacza wyłącznie przestępstwo z art. 166 kk: „kto bierze udział w związku mającym na celu przestępstwo — podlega karze więzienia do lat 5". Związek ten, mający cele przestępcze — polskie prawo karne określa mianem — **bandy.** W znaczeniu potocznym natomiast terminu „bandytyzm" używa się dla określenia okrutnych metod działania niektórych przestępców, a zwłaszcza używających broni lub innych niebezpiecznych dla życia i zdrowia narzędzi. Termin ten odnosi się do szeregu przestępstw, takich, jak: rozboje, wymuszenia rozbójnicze, bardzo ciężkie uszkodzenie ciała itp.

Łódzka milicja wymienione przestępstwa traktuje jako szczególnie niebezpieczne i podejmuje dalsze wysiłki do ich skutecznego zwalczania oraz ograniczania. Między innymi dążymy do skrócenia czasokresu prowadzenia postępowań przygotowawczych o te przestępstwa do 3 tygodni. W przypadkach użycia przez sprawców broni lub innych niebezpiecznych narzędzi, albo postępowania wobec ofiar w sposób wyjątkowo brutalny, wnioskować będziemy o kierowanie przez Prokuraturę tych spraw do sądu w **trybie doraźnym.** W naszych poczynaniach, zmierzających do ograniczenia przestępstw, które w sposób umowny określiliśmy mianem „bandytyzmu", dużo uwagi poświęcimy właściwemu zabezpieczeniu przez służbę mundurową i wywiadowczą oraz ORMO miejsc najbardziej zagrożonych.

Charakteryzując ogólnie stan bezpieczeństwa i porządku w naszym mieście wspomniałem, że w roku ubiegłym odnotowaliśmy spadek czynów o charakterze chuligańskim. Niemniej w dalszym ciągu zjawisko to znajdować się będzie w centrum naszej uwagi i podejmować będziemy wszelkie dostępne środki tak pracy profilaktycznej, jak i represyjnej, by stało się ono jeszcze mniej odczuwalne dla społeczeństwa naszego miasta. Jeżeli uznamy to za konieczne, w dalszym ciągu będziemy wnioskować o wprowadzenie, na pewien okres — trybu przyspieszonego w postępowaniu karno-administracyjnym, choć główny wysiłek skierujemy na działalność zapobiegawczą.

ODGŁOSY: Organa Milicji Obywatelskiej pracują obecnie o wiele lepiej, sprawniej, niż w ubiegłych latach. Są to zmiany jakościowe. Co leży u podstaw tych sukcesów?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Złożyło się na to wiele czynników. Nie negując znaczenia całego zespołu warunków, które wpłynęły na wzrost sprawności naszego działania, chciałbym podkreślić, że zadecydowały o tym milicyjne kadry. Poziom naszych funkcjonariuszy w porównaniu do lat ubiegłych znacznie się podniósł. Obecnie wszyscy funkcjonariusze osiągnęli minimum wymaganego wykształcenia. Znaczny odsetek kadry oficerskiej posiada wykształcenie wyższe. W bieżącym roku na stanowiska milicjantów przyjmujemy kandydatów tylko z wykształceniem średnim.

U podstaw powodzenia naszej pracy leży mocna więź ze społeczeństwem, bez którego aktywnej postawy i pomocy realizacja wielu zadań nie byłaby możliwa. Dziś śmiało możemy mówić o wytworzeniu się w naszym mieście szerokiego frontu społecznego przeciwdziałania wszelkim przejawom łamania norm porządku prawnego. W jego szeregach znajdują się zarówno całe organizacje i instytucje, jak i poszczególni obywatele-społecznicy. Przykładem tego może być ostatnie spotkanie, na którym wspólnie z władzami partyjnymi, administracyjnymi miasta i wymiaru sprawiedliwości oraz kierownictwem organizacji związkowych, młodzieżowych i społecznych zakreśliliśmy wspólny plan dalszego działania w zapobieganiu przestępczości.

Korzystając z okazji chciałbym za pośrednictwem „Odgłosów" przekazać mieszkańcom Łodzi oraz współpracującym z nami instytucjom i organizacjom serdeczne podziękowania za zaufanie i udzielaną pomoc oraz zapewnić, iż dołożymy wszelkich starań, aby postawione przed aparatem MO zadania wykonać jeszcze lepiej dla dobra obywateli naszego miasta.

ODGŁOSY: Jakie elementy współczesnej techniki włączy się do aparatu operacyjnego łódzkiej MO?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Systematyczny wzrost wyposażenia technicznego łódzkiej MO pozostaje w ścisłym związku ze stałym podnoszeniem poziomu naszych kadr. Mając w swych szeregach specjalistów wielu dziedzin wiedzy, dajemy im do dyspozycji nowoczesny sprzęt, umożliwiając tym samym korzystanie z najnowszych zdobyczy z dziedziny techniki kryminalistycznej.

Szczególną uwagę zwracamy na działanie w miejscu przestępstwa, gdzie zastosowanie nowych metod i wykorzystanie nowoczesnego sprzętu decydują często o wartości zebranych śladów i dowodów, warunkując efektywność naszej pracy.

ODGŁOSY: Społeczeństwo łódzkie wysoko ocenia trudną i niebezpieczną pracę funkcjonariuszy MO, jest im wdzięczne za wysiłek i poświęcenie. Dziękując za rozmowę, niech nam będzie wolno, za Waszym pośrednictwem, Obywatelu Komendancie, złożyć życzenia dalszych sukcesów w pracy wszystkim pracownikom łódzkiej MO.

Rozmawiał: WŁ. STOKOWSKI

Z Wystawy Okręgowej. *Marian Jaeschke.*

LIST Z RADOMSKA

SZANOWNY REDAKTORZE!

W Radomsku aż się gotuje! Miasto niewielkie, nie narzucające się dotychczas swoją obecnością — przypomniało sobie, że nie jest żadnym niewypierzonym urbanistycznym chłystkiem, lecz grodem sędziwym, poważnym, biorącym na swe barki 700 rok życia. Bo właśnie przed 700 laty, dokładnie w roku 1266, powstał dokument nadawczy, nadany przez Leszka Czarnego, mianujący osadę Radomsko miastem na prawach niemieckich.

Nie jest to pierwsza wzmianka o Radomsku. Już w roku 1243 Konrad I, książę Krakowa i Łęczycy, potwierdzał tu nadanie dla dominikanów w Płocku. Ale przecież chodzi nie o 700-lecie w ogóle, ale o 700-lecie osady jako miasta. Przy takiej okazji radomszczanie postanowili zrezygnować z dotychczasowej skromności. Zamierzają świętować swoje 700-lecie hucznie a wesoło, żeby od Warszawy aż po Wrocław było słychać. Uroczystości jubileuszowe nazwali Dniami Radomska. Mają one trwać pełny tydzień, a zaczną się w dniu święta klasy robotniczej, która to klasa ma w Radomsku chlubne, acz nie dość spopularyzowane tradycje. 700-lecie Radomska tym huczniej będzie fetowane, że zbiega się ono z obchodami Tysiąclecia państwa. A więc przypomniano sobie o licznych sławnych synach i córach Ziemi Radomszczańskiej i uplanowano sobie zaprosić ich na jubileusz.

No cóż, może nie wszyscy przyjadą, bo przecież losy jednostek rzadko zsynchronizowane są z losami zbiorowości. Ale gdyby tylko część tych ludzi przyjechała, to i tak okrasa będzie smaczna. No, bo proszę: Mieczysław Moczar, Jan Dąb-Kocioł, Ryszard Nazarewicz, poeta Tadeusz i reżyser Stanisław Różewiczowie, sławny dyrygent z Krakowa Jerzy Semków, inni muzycy — prof. prof. Nowakowski i Fotygo z Wrocławia, a wreszcie — Kalina Jędrusik, Violetta Villas...

W ramach Dni Radomska przewidziano sesję naukową, wielki barwny pochód historyczny 700 i 1000-lecia, dzień kobiet, dzień mody, dzień młodości, dzień sportu... Istnieje także pomysł, aby „ściągnąć" orkiestrę symfoniczną z Filharmonii w Częstochowie i poprosić pana Semkowa o wystąpienie z tą orkiestrą...

Niestety, na sesji naukowej nikt nie przedstawi monografii Radomska, choć ambicją radomszczan było opracowanie takiej monografii we własnym zakresie. Podobno miejscowi historycy nie żyją z sobą w zgodzie i to ostatecznie przeszkodziło w stworzeniu takiej pracy.

Przy opracowywaniu planu Dni Radomska nie zapomniano o tym, że pokrywają się one z Dniami Książki i Prasy. Jak do tej pory, zaproszono na spotkania z czytelnikami Wiesława Jażdżyńskiego, Jana Koprowskiego, pomyślano o przygotowaniu wystaw i kiermaszów książek.

Dni Radomska są także okazją do ożywienia licznych w mieście i regionie zespołów amatorskich. Zespoły te już od kilku tygodni ciężko pracują nad przygotowaniem odpowiednich programów. Notabene — kabaret „Nietoperz" niedawno przebywający z występami w Łodzi, jest w samym Radomsku tak znany, że będzie bawił publiczność co większych ośrodków w powiecie.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że 700-lecie Radomska będzie obchodzone jedynie na płaszczyźnie kulturalno-rozrywkowej. Obchody uzupełnią czyny społeczne, masowo podejmowane przez mieszkańców miasta i powiatu. Ludność całego regionu uczci 700-lecie swej metropolii, a równocześnie 1000-lecie państwa dalszym, bezinteresownym wkładem pracy w poprawienie stanu swych ulic i dróg, w zazielenienie okolicznych terenów itp. Ta strona jubileuszu nie będzie może tak efektowna, ale za to bardziej pożyteczna.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Jaka ONGIŚ BYŁAM...

W omawianym przez nas czasie jedna linia kolejowa, przez Koluszki, łączyła Łódź ze światem.

„W czasie swych licznych podróży po Rosji i zagranicy — pisze A. Kalinowskij — nigdzie nie spotykałem drogi żelaznej dziwniejszej od łódzkiej. Można wcale nie wiedzieć, kto ją budował, a bez omyłki powiedzieć, że jest ona dziełem rąk niemieckich. Z jednej strony wyborny tabor, maszyniści doświadczeni i trzeźwi oraz służba dobrze wyćwiczona; z drugiej pedantyczna oszczędność, przebijająca z każdego kawałka drogi, widać, że budujący linię obawiali się wydawać zbytecznie kopiejki na utworzenie nasypu, lub urządzenie wąwozu, toteż robi się jakoś dziwnie, gdy pociąg pędzi z całą siłą pary po straszliwej pochyłości, lub wchodzi żółwim krokiem na znaczne wzniesienia. Właściwie pociągi pasażerskie nie chodzą po tej 25-wiorstowej linii, a jedynie pociągi towarowo-osobowe, czyli, jak je tu nazywają — „wołowe", wyjątki są tylko wtedy, gdy jedzie jaki „złoty" dygnitarz łódzki. Oprócz tego, w razach wyjątkowych, chodzą tu jeszcze pociągi zabawowe, urządzane z królewskim przepychem, lecz są one niedostępne dla zwykłego turysty, toteż można wspomnieć o nich tylko, jako o ciekawym szczególe tutejszego życia".

Król bawełny — Scheibler — dla potrzeb swej firmy wybudował odnogę tej linii kolejowej, wprowadzając ją na teren rozległych zakładów, obok pałacu, tak że żona jego, udająca się do wód za granicę, wyjeżdżała własną salonką spod własnego pałacu.

Dworzec kolei Fabryczno-Łódzkiej postawiono na peryferii miasta, poza ulicą Widzewską, i aby ubarwić jego otoczenie, założono w pobliżu, w roku 1885, park zwany kolejowym.

Tak z dworca do miasta, jak i po nim, możni jeździli dorożkami. Wyrabiano je w Łodzi, były kryte białym szyrtyngiem [1]) — jak wymagał tego miejscowy zwyczaj. Dorożkarze ubrani byli w liberię (zimą) i surdut (latem). Na plecach surdutowego kołnierza wisiała blaszka z numerem woźnicy, którego głowę pokrywał kapelusz czarno lakierowany, albo czapka-furażerka z błękitną obwódką.

Jedyna linia kolei żelaznej nie zlikwidowała innej komunikacji — pięć bitych dróg łączyło Łódź z okolicznymi miastami i sąsiednimi dzielnicami kraju. Do Łodzi wiozły ludzi omnibusy konne (własność prywatna), do Kalisza zaś jeździły „kurierki" — dyliżanse pocztowe, równie niewygodne i nieruchliwe jak omnibusy. Te ostatnie tym się różniły od dyliżansów, że były starsze i więcej zdezelowane. A i taki dyliżans pocztowy, z woźnicą, ubranym w długi płaszcz szary i takiego koloru cylinder, który trąbką zwiastował przyjazd — i taki dyliżans wlókł się, trząsł i potykał na wyżłobionej koleinami szosie, turkotem, klekotem i pobrzękiem uprzęży uprzyjemniając podróż. Wymęczonego podróżnego, Łódź uprzedzała o swej bliskości wielką, ciężką chmurą dymu, wiszącą na błękitnym rozsłonecznionym niebie. To co straszyło przyjezdnych — było dumą fabrykantów — ha! dymią kominy, to przemysł żyje, rozwija się, praca wre, rosną zyski. Wywoływało to i hymny pochwalne: — „Ty Łodzi duma i wspaniała, trzystu kominami rzucasz w powietrze miliardy stóp kubicznych dymu, przyćmiewając nawet blask słońca!"

Te miliardy stóp kubicznych dymu opadały na miasto, zagęszczając powietrze, dla tego też dziennikarz A. Kalinowskij wzdycha, że „dopiero zaczyna się oddychać swobodniej, wchodząc do jakiegoś mieszkania".

Jadąc Piotrkowską, od fabryki Gayera, podróżny widział ulicę nie brukowaną, o nawierzchni szosowej, po bokach której głębokie rowy bulgotały odpływami z fabryk i domów mieszkalnych. Już za Wólką, bliżej Nowego Miasta i jego rynku, ulica była kamieniem polnym brukowana, wypukle do rynsztoka, nie tak głębokiego jak rów szosy, ale jeszcze wymagającego przeskoku.

„Kamienice i ozdobne jak pałace domy przytykały do kominów fabrycznych lub do lepianek ubogich. Fronty okazalszych domów były otynkowane, upstrzone masą ozdób, ale trudno się w nich doszukać stylu, poza ratuszem i kościołem ewangelickim. Im bliżej rynku, tym węższe chodniki, uszczuplone jeszcze o czwartą część poprzez wschodki do sklepów, czy obmurowania okien piwnic. Piwnice przeznaczone na zapasy zasobnego handlu, właściciele czynszówek przerabiali na mieszkania".

„Nad wejściem do sklepów porozwieszano pstre, kolorowe szyldy, obrazkowo reklamujące posiadane przez sklep towary — ta reklama potrzebna była dla nieumiejących czytać mieszkańców. Dodatkową wizualną reklamą były okna sklepowe przeładowane towarem. Było też w zwyczaju rozwieszanie rozmaitej garderoby przy oknach sklepów lub nad balkonami pierwszego piętra, okrycia damskie, czy paltoty męskie, częstokroć w rozmaitym kolorze i wyborze. Bajecznej kolorowości nadawały ulicy wietrzące się na balkonach dywany czy pościel o czerwonych wsypach lub białych powłoczkach".

W czasie dnia — ruch na ulicy duży. Chodnikami szybko przesuwali się ludzie, zaaferowani interesami. Każdego idącego wolnym krokiem, zerkającego na wystawy, opadali agenci sklepowi, zachwalając towar, przez ich sklep sprzedawany. Cień zastanowienia lub wahania powodował, że agent brał go pod rękę, siłą prawie wprowadzając do sklepu. A zdarzało się, że czyniło to równocześnie dwóch agentów konkurujących ze sobą sklepów. Przy wzajemnym wymyślaniu sobie, agenci ciągnęli przechodnia to w jedną to w drugą stronę, i on wówczas mógł się od nich uwolnić używając siły.

Po jezdni toczyły się, zaprzężone w wielkie konie, wozy fabryczne, specyficznie łódzkie, na resorach, o wysokich kołach, kamiennymi obręczami dzwoniąc po bruku. Boki wozów, to wysokie ściany, falisto zwężone ku przodowi. Poprzez środek wozu, na zaczepach, wysoko położony drążek, na niego to w czasie niepogody zarzucano brezentowe płachty, wyglądał wówczas na zasobny furgon cygański. Wozy te były pełne towaru, dostarczanego do składów kolejowych, do fabryk, sklepów. Stąd ich ciągły ruch po ulicach miasta.

Handel detaliczny to nie tylko Piotrkowska, ale i Stare Miasto — przyciągające ludzi uboższych. Było tam jeszcze krzykliwiej niż w śródmieściu. Rozjazgotane zbiorowisko sprzedawców zachwalało towary, co chwila zwracając się do kupujących ze słowami „co pani szanowna uważa?". Kupujący targowali się do upadłego, to odchodząc od stoiska, to do niego wracając, aby w końcu kupić to i owo za połowę, czy jedną trzecią podanej ceny — dając i tak zarobić „kupcowi".

Część straganów i stoisk rozsypana była po obu brzegach rzeki Łódki, wówczas już będącej zlewiskiem ścieków fabrycznych. Ta część miasta była bajecznie kolorowa, skrzyła się wszystkimi barwami towarów, płócien, perkalów, barchanów, sukien, chust, spódnic, kiecek, bielizny damskiej, męskiej, dziecięcej, wstąg i gotowych ubiorów, przez krawców na miejscu dopasowywanych na figurę klienta.

Pod wieczór zamierał ruch handlowy i spacerowy na ulicy Piotrkowskiej, napełniał ją natomiast stukot drewnianego obuwia (trepów), uderzającego ociężale ale miarowo po chodnikach, nieomylny to znak dla miasta, że godzina ósma wieczór minęła, klasa „niższa" — robotnicy — wracali z fabryk. Po dziewiątej miasto zastygało w ciszy. Ruchliwiej i głośniej było tylko wokół teatrów, restauracji, ogródków (latem) czy lokali kawiarnianych. W centrum miasta, tylko w szynkowniach jeszcze szumiał rozgwar ludzkich głosów. „W szynkowniach, w dymie i hałasie bawią się ludzie. Co krok spotykasz tu zakłady z napisem „do wypicia na miejscu i na wynos". W ostatnich czasach otwarto wiele szynków, zwłaszcza w zachodniej części miasta. Gdzie tylko fabryka nowa w ruch jest puszczona, gdzie tylko jakaś nowa budowla powstaje, nie ma tam jeszcze trotuarów, ani bruków, ani oświetlenia — ale szynk już jest!"

Łódź. Plac Wolności Rys. W. Kondek

Wieczory i noce nie były zbyt bezpieczne dla przechodniów. Oto charakterystyczny obrazek — „Wieczorem, na ulicy Promenda [2]) szło dwóch mężczyzn naprzeciw siebie. Zauważywszy się, stanęli. Lęk opanował każdego z nich. Tchórzliwszy począł biec do najbliższej przecznicy — ul. Benedykta [3]) — ale potknąwszy się upadł. Drugi nadbiegł, nachylił się nad leżącym, ten począł błagać by mu nie robił krzywdy. Nachylający się pomógł leżącemu wstać — wówczas poznali się, jako znajomi przemysłowcy, wracający z birbantki".

„Klasa wyższa", z uwagi na mnożące się w Łodzi kradzieże, bójki uliczne, nożownictwo, zażądała od władz miejskich zwiększenia ilości stanu policji. Na temat tych żądań, „Dziennik Łódzki" napisał: — „samo powiększenie policji nie wystarczy na utrzymanie porządku materialnego, jeżeli ci, do których należy troska o dobro miasta nie wyjednają zaniechania wysyłki złodziei z innych miast do pobliskiego Łodzi przedmieścia Bałuty... Niegdyś Łódź była miasteczkiem, a skazywanie złoczyńców po odsiedzeniu kary na pobyt w Bałutach było poniekąd usprawiedliwione tym przypuszczeniem, że mieszkańcy małego terytorium, wypuszczonych z więzień strzec będą, pomijając już tę okoliczność, że sto domów, nędznych chat, na Bałutach nie przedstawiało pola do łupów, a strzeżone rogatki miasta ochraniały go od wizyt nieproszonych gości... dziś gdy miasto się zbogaciło i rozrosło, gdy nie strzeżone są jego granice, ułatwiona jest nocna wędrówka po Łodzi i dzienne legalne schronienie na Bałutach... O zmierzchu nie można wyjść na miasto, aby nie narazić się na pchnięcie nożem lub ograbienie...".

„Istnieje, jak powiadają, kantor na Bałutach, w którym można wykupić skradzione rzeczy, lub zamówić „pranie dla sąsiada"!.... Opowiadano nam, że furmani utrzymujący stałą komunikację między Zgierzem, a Łodzią, przez Bałuty, opłacają się stale opryszkom, aby ich nie rabowali. I bezpieczniej pono towar przewieźć za pośrednictwem takiego furmana [illegible] własnemi końmi. Wydatki związane z tak[illegible] opłatą notuje się w firmach na kosz[illegible] handlowe. Rzezimieszki nasze bodaj c[illegible] nie przewyższają warszawskich; zdołali o[illegible] wyłamać mur, a gdy to się na nic zdał[illegible] przepiłowali kratę w oknie, zabrali towa[illegible] ze sklepu, a wszystko to tak zgrabnie zr[illegible] bili, że właściciel śpiący w drugim pok[illegible] ju, niczego się nie domyślał". A teraz [illegible] innym miejscu: — „Jakim sposobem [illegible] gli złodzieje niespostrzeżenie, na dziedzin[illegible] licznie i to ze wszystkich stron zamie[illegible] kałym, powyrywać haki żelazne wraz [illegible] trzpieniami drewnianymi, powykręcać gr[illegible] be zasuwy żelazne i takież drzwi prawi[illegible] przełamać, co wszystko wymagało kilk[illegible] godzinnej ciężkiej pracy. Towaru skr[illegible] dziono na kilka tysięcy rubli. Doszli ju[illegible] do tego, że w najporządniejszych i najlepi[illegible] strzeżonych domach, w biały dzień odbij[illegible] ją klamki schodowe, aby ułatwić sob[illegible] rozboje nocne, że w samo południe otwi[illegible] rają piwnice i wynoszą rzeczy, że wrac[illegible] nie nocą po godzinie 10 jest połączone [illegible] niebezpieczeństwem". ELA

[1]) Shirting — cienka i gęsta tkanina bawe[illegible] niana.
[2]) Ob. Aleja Kościuszki.
[3]) Ob. ul. 22 Lipca.

WŁODZIMIERZ WITKOWSKI

KRETE SZLAKI turystyki

Turystykę jako zjawisko społeczne określa się mianem fenomenu drugiej połowy naszego stulecia. W obrachunku rocznym turystyka zamyka się dziś w stu milionach podróżujących za granicę mieszkańców naszego globu a przecież ruch turystyczny wewnątrz każdego kraju osiąga jeszcze większą dynamikę.

Mowa tu oczywiście tylko o turystyce zorganizowanej, a więc i zarejestrowanej przez biura podróży lub przy przejściach granicznych. Nie sposób ująć w dokładnych liczbach tych ludzi, którzy w myśl definicji są turystami (opuszczając miejsce swojego stałego zamieszkania na okres nie krótszy niż 24 godziny i nie dłuższy niż 6 miesięcy), a nie korzystają z form turystyki ujętej w ramy organizacyjne.

Ale nie dynamika rozwoju światowego ruchu turystycznego interesuje nas w tej chwili. Chodzi o węższy jego zakres, o nasze własne podwórko, a więc o Łódź.

Nie można rozpatrywać Łodzi w zupełnym oderwaniu od całego obszaru naszego kraju, bo przecież pewne zjawiska powtarzają się i stanowią cechę ogólnopolską.

Autor niniejszego, który ryzykuje twierdzenie, że nasza rodzima turystyka jest na drodze do degeneracji uczestniczy aktywnie w ruchu turystycznym od sześciu już lat, czyli w okresie jego dynamicznego rozwoju i częściowej stabilizacji, w okresie urastania turystyki do roli problemu społecznego. Nie będę zajmował się ruchem zagranicznym przyjazdowym i wyjazdowym i nie wszystkimi formami ruchu turystycznego jak: **pobyty wypoczynkowe, wczasy świąteczne, wędrówki turystyczne i wycieczki krajoznawcze.** Chcę zająć się w tym miejscu ostatnią z wymienionych form — wycieczkami krajoznawczymi masowymi, których uczestnicy korzystają najczęściej z autokarów.

Na początek więc proponuję dla lepszego zobrazowania całości trochę liczb.

Wśród wszystkich województw i miast wydzielonych Łódź pod względem intensywności ruchu turystycznego zajmuje ostatnie, bo **21 miejsce** (Poznań klasyfikowano wraz z województwem, stąd jedna pozycja mniej) **ze wskaźnikiem intensywności 0,2.** Przykładowo woj. łódzkie zajmuje **14 miejsce ze wskaźnikiem 2,2 a woj. krakowskie 1 miejsce ze wskaźnikiem 18.**

Ale niech nas to nie martwi, bowiem nasze miasto nie należy do najbardziej atrakcyjnych turystycznie i nie może się równać z Krakowem, Trójmiastem, czy Mazurami o wysokich walorach turystycznych. Przodujące pod tym względem regiony (Krakowskie, Koszalińskie, Szczecińskie, czy Gdańskie) zawdzięczają swoją pozycję recepcji czyli turystyce przyjazdowej. Wiadomo, że ruch turystyczny koncentruje się w co bardziej atrakcyjnych rejonach (tzw. rejonizacja) przy czym prym wiodą góry i rejony nadmorskie. Udział Łodzi w ogólnopolskim ruchu turystycznym to przede wszystkim wyjazdy.

Nasze masowe wycieczki obsługują biura turystyczne: „Orbis", „Gromada", „Sports-Tourist", „Turysta", LZS „Camping" i najbardziej masowe i wszechstronne PTTK. Dla całości obrazu wymienić jeszcze trzeba; PZMot i Automobilklub, ale to już biura **specjalistyczne** tyle, że wzbogacające statystykę ruchu turystycznego. Z roku na rok wzrasta ilość obsłużonych wycieczek, wzrasta liczba turystów: w roku 1962 wyjechało z Łodzi **86,2 tys. osób,** w 1963 — **127,7 tys.,** w 1964 — **161,1 tys.,** a w ostatnim 1965 r. **208,6 tys.** Przyjmując jako wskaźnik rozwoju w roku 1962 liczbę **100** to w 1965 roku otrzymamy **241** dynamika rozwoju jest więc wyraźna i na naszym terenie.

Jesteśmy w przededniu nowego sezonu, nowe tysiące łodzian ruszą na turystyczne szlaki i znów, jak zapowiadają biura turystyczne, wzrośnie wskaźnik... Tyle liczby, plany, procenty i wskaźniki, a jak jest na trasie?

Na trasie ciągła gonitwa... Byle szybko, byle dalej, byle więcej kilometrów. W rezultacie trzydniowa wycieczka, to trzy dni **pobytu w autokarze** z przerwą na posiłki i noclegi. Program imprezy turystycznej jest tak przeciążony, że naprawdę turysta niewiele obejrzy i niewiele skorzysta.

Nikt nie wymaga od biur turystycznych, by w trzy dni zapewniły uczestnikom możliwość gruntownego poznania zwiedzanego regionu, ale można wymagać **ogólnego** zaznajomienia się z **najciekawszymi walorami środowiska** przyrodniczego, tradycjami kultury ludowej, zabytkami i współczesnymi osiągnięciami. Do tego potrzebny jest **realny program imprezy.**

Tymczasem w trzy dni (pozostańmy już przy owych przykładowych trzech dniach) program przeciętnej imprezy przewiduje: przebycie trasy Łódź — Zakopane, po drodze zwiedzanie Krakowa (ewentualny nocleg w Krakowie). Zwiedzanie Zakopanego (koniecznie Morskie Oko), spływ Dunajcem z Czorsztyna do Szczawnicy potem powrót, a po drodze zwiedzanie Oświęcimia, jako, że martyrologia i trzeba złożyć hołd... Na całej tej gigantycznej trasie są, owszem, przewodnicy, ale pilot wycieczki czuwający „z ramienia" biura turystycznego nad planową realizacją zakreślonego programu imprezy ponagla: „p[illegible] nie przewodniku zrób pan to [illegible] godzinkę, bo zaraz mamy obiad, [illegible] o 21 musimy być w Łodzi". Tym[illegible] czasem „to" wymaga najmni[illegible] trzech godzin, ale przewodnik r[illegible] nierad zgadza się... Nasz klie[illegible] nasz pan!

A godziny pracy kierowcy?

Na tym tle rodzi się często, [illegible] zwijmy sobie umownie i nieco, [illegible] tetycznie, konflikt na szosie. O[illegible] o godzinie którejś tam kierow[illegible] staje na szosie i spokojnie ozn[illegible] mia, że dalej nie jedzie, bo godz[illegible] ny się skończyły i musi spać. Zaczynają się „pertraktacje", persw[illegible] zje, kłótnie, prośby i groźby... c[illegible] sem kończy się składką i wówczas „mowa do rączki" przełamuje n[illegible] bardziej „twardego zawodnika" [illegible] jedziemy dalej proszę wycieczki!

Nie tak dawno oglądaliśmy w [illegible] lewizji film niemiecki „Przygo[illegible] na szosie": kierowca, bohater filmu ulega namowom szefa i „czarow[illegible] dwustu marek premii i decyduje [illegible] na nocną jazdę po przepracowa[illegible] całej doby „za kółkiem". Finał [illegible] rozbity samochód, ładunek dro[illegible] cennych mebli i śmierć bohate[illegible] Tam były meble, tu kierowca au[illegible] karu turystycznego wiezie l u d[illegible]

W przypadku więc „konfliktu [illegible] szosie" kierowca ma rację. Ma [illegible] cję do momentu zgody na dal[illegible] jazdę! Istotą konfliktu jest tu z[illegible] r z ą d z e n i e nazwijmy delikatn[illegible] niezbyt fortunne, zabraniające w[illegible] syłania na trasę dwóch kierowc[illegible] pracujących na zmianę. Kiedyś je[illegible] dziło dwóch, ale kiedyś nasza [illegible]

Paragraf sława i delirium

Dalszy ciąg ze str. 1

mieckich. Czy już wtedy miał nałogi, które później zyskały mu miano zakały adwokatury? — chyba nie. W okresie pierwszej wojny z osobą jego łączy się wiele wydarzeń o posmaku awanturniczym, ale tłem ich były — być może sprawy zgoła innej natury niż na to wskazywałyby opisane wyżej przywary.

Zaraz po wybuchu wojny pojechał samochodem do Warszawy i nazajutrz widziano, jak tym samym samochodem wjeżdżał do Cytadeli. Kierowca miał na sobie mundur żołnierza rosyjskiego. Kobyliński — pułkownika. Jeszcze dzień później wyleciała w powietrze prochownia Cytadeli warszawskiej. Prasa wyjaśniła to uderzeniem pioruna, ale wyjaśnienie to wyśmiano, gdyż owego dnia niebo było bezchmurne. Mówiono też, że kiedyś przekroczył front pod Włocławkiem a następnie wrócił na tę stronę. Wreszcie adw. Edward Szyfer, który przez czas pewien prowadził osobiste sprawy Kobylińskiego, widział jego portret w mundurze oficera polskiego, choć nikt go nigdy w mundurze takim nie spotkał. Kobyliński o tle powyższych spraw mówić nie chciał, łączono zaś je z przypuszczalną jego działalnością w ramach zorganizowanego w Krakowie Naczelnego Komitetu Narodowego. Możliwość pracy w N.K.N. czyni prawdopodobnym jeszcze jeden fakt. Mianowicie jeszcze przed pierwszą wojną Kobyliński, człowiek bardzo zamożny, ale zupełnie nie znający się na rolnictwie kupił 60-włókowy majątek pod Kownem, w bezpośrednim sąsiedztwie budowanej tam twierdzy. Sprawy tej Kobyliński również nie wyjaśnił nikomu. Kiedy mu po wojnie radzono, by zatroszczył się o los majątku, powiedział, że „spisał to na straty", chociaż jakieś bardzo korzystne dla niego możliwości miał mu sugerować sam buńczuczny premier litewski, Waldemaras.

Wróćmy jednak do pierwszego z opisanych wyżej wydarzeń wojennych. Wizyta Kobylińskiego w Cytadeli nie uszła uwagi władz carskich, wkrótce został aresztowany i osadzony na Pawiaku. Wraz z nim aresztowano jego przyjaciółkę, znaną z urody aktorkę Stamatti. Osoba jej o tyle wiąże się z Łodzią, że to dla niej Kobyliński zbudował przy ulicy Cegielnianej teatr, noszący dziś nazwę „Nowego". Kilka lat wcześniej Stamatti występowała na dworze cesarskim w Petersburgu, tam zaprzyjaźniła się z córkami cara i teraz odwołała się do ich przyjaźni, by ratować siebie i zamieszanego w niebezpieczne sprawy adwokata. Wkrótce do prokuratora nadeszło odręczne pismo Mikołaja II: „Jeśli winowien, rasstrielat', jesli nie winowien — sosłat". Nie wszyscy znający Kobylińskiego w tamtych latach zgadzają się z taką treścią drugiej alternatywy zawartej w liście. Znalazł się on bowiem wraz ze Stamatti w Moskwie, na wolności i wkrótce dostał koncesję na dostawy wyrobów kowalskich dla armii. Zarabiał podobno miliony. Tkwił jednak w dalszym ciągu w jakichś sprawach politycznych, gdyż wkrótce grunt zaczął mu się palić pod nogami i powziął decyzję ucieczki za granicę.

Była to wyprawa nie mniej awanturnicza, niż wszystkie jego wojenne przedsięwzięcia. Wraz ze Stamatti pojechał do Niżniego Nowgorodu (Kujbyszew), gdyż inny adwokat łódzki, Ryszard Kijowski był tam — jako oficer rezerwy — komendantem miasta. W Niżnim uradzono, że przedostaną się do Chin, etapem zaś podróży miał być Charbin, gdzie adw. Kijowski miał wuja, katolickiego księdza. Kiedy zjawili się w Charbinie, ksiądz poradził nawiązać stosunki z urzędnikami, zwłaszcza zaś z gubernatorem, którym miał być jakiś nieślubny syn cara. Któregoś wieczora Kobyliński zjawił się we fraku w klubie urzędniczym, zjadł kolację z szampanem, suto opłacił kelnera i zapytał, gdzie można by pograć w karty. Kelner ułatwił zawarcie znajomości z gubernatorem i w ciągu paru kolejnych wieczorów pokaźna ilość przywiezionych z Moskwy rubli przeszła do kieszeni dostojnika i urzędników. Przedstawił się jako adwokat, pełnomocnik pewnego Chińczyka, którego własność leżała na terenie Moskwy i w Pekinie — stąd konieczność wyjazdu do Chin. Gubernator przesłał mu paszporty do hotelu i wśród innych jeszcze przygód dotarł Kobyliński do Pekinu. Tu został korespondentem wojennym. Przeniósł się następnie do Japonii, potem do Stanów Zjednoczonych, wreszcie przez Norwegię, Danię do Berlina i stamtąd do okupowanej przez Niemców Polski. Cały czas towarzyszyła mu Stamatti.

W roku 1918 patriotycznie nastawieni adwokaci szli do sądownictwa i prokuratury bowiem wymiar sprawiedliwości organizował się z niczego. Kobyliński uchwycił się adwokatury, od razu zabłysnął i wykonywał swój zawód aż do drugiej wojny. Stamatti osiadła w Sopocie, gdzie na wprost Grand-Hotelu założyła elegancki lokal „Kakadu".

Wojenne przygody tego niezwykłego adwokata przedstawiłem tu w dużym skrócie. W jakiejś mierze charakteryzują go one, nie one jednak przysporzyły Kobylińskiemu sławy.

Bronił zarówno w sprawach cywilnych, jak karnych, bronił skrzywdzonych i zbrodniarzy, nie dostrzegał aspektu moralnego prowadzonych spraw. Był genialnym znawcą prawa i potrafił je wykorzystać dla celu, któremu w danej chwili służył. Można by najogólniej powiedzieć, że celem tym były pieniądze, służył więc ludziom bogatym. Owszem, wziął udział w kilku politycznych procesach roku 1905 i latach następnych, jest to jednak jakiś mało znaczący epizod w jego barwnym życiu i rozległej praktyce adwokackiej.

Do spraw często między wojnami spotykanych, ale spraw trudnych, należało przeprowadzenie upadłości.

W interesie zaś zachwianego handlowca czy przemysłowca leżała zwłoka, zwłoka w powzięciu ostatecznych decyzji przez sąd i w wyznaczeniu licytacji. Nikt tak nie umiał odwlekać orzeczeń jak Kobyliński. Jedna z takich spraw ciągnęła się około 10 lat, wyznaczane kolejno sesje sądu były odraczane, gdyż Kobyliński wskazywał wciąż na nowe niedociągnięcia procesowe. Wreszcie po upływie owych dziesięciu lat, w drodze na kolejną rozprawę spotkał się w pociągu z przedstawicielem strony przeciwnej, adw. Hawłowskim. „Dziś — powiedział Hawłowski — mam wszystko tak przygotowane, że nie znajdzie pan żadnego drobiazgu, który by uniemożliwił wydanie orzeczenia". „Załóżmy się" — brzmiała odpowiedź Kobylińskiego. I założyli się. W momencie, kiedy przewodniczący sądu ogłosił otwarcie posiedzenia, woźny podał mu depeszę następującej treści: „Adwokat Kobyliński umarł". Sprawę odroczono wobec nieobecności stron. Kobyliński nigdy się nie przyznał, że sam nadał depeszę.

Jeden z synów Oskara Kohna pojechał kiedyś do Gdańska i usiłował przemycić 40 tys. dolarów, miał bowiem ochotę zagrać w Sopocie. Na granicy pieniądze znaleziono i młody Kohn został aresztowany. Groziła mu sprawa o przestępstwo dewizowe, wyrok skazujący był pewny. Oskar zwrócił się do kilku adwokatów łódzkich tej miary, co Forelle, Kempner, Piotr Kohn, — byli bezradni. Wyjście z sytuacji znalazł Kobyliński. On jeden pamiętał przepis, który mówił, że przy zbiegu przestępstwa karno-skarbowego ze zwykłym, właściwym do rozpatrzenia sprawy był sąd ogólny. Inaczej mówiąc: gdyby młody Kohn przemycane pieniądze ukradł, to byłby sądzony nie na Wybrzeżu, a w Łodzi, a tu stary Kohn wiele mógł zdziałać. I oto za rada Kobylińskiego widzewski królik złożył meldunek o kradzieży 40 tys. dolarów, dokonanej przez własnego syna. Prokuratura rozesłała listy gończe. Złodzieja znaleziono w areszcie — bodaj — w Gdyni i sprowadzono go do Łodzi. Ojciec złożył kaucję i syna zwolniono. Potem sprawa ciągnęła się strasznie długo, stary Kohn odmówił zeznań i wreszcie zwrócono mu rzekomo skradzione pieniądze a syna zwolniono od odpowiedzialności.

W dwóch odrębnych sprawach karnych o zatrucie arszenikiem Kobyliński doprowadził do uniewinnienia oskarżonych. W Płocku bronił w II instancji męża oskarżonego o zatrucie żony. W ekspertyzie lekarskiej napisano, że wnętrzności denatki przechowuje się w spirytusie skażonym. Kobyliński wniósł o powołanie biegłego lekarza — był nim prof. Grzywo-Dąbrowski. Biegłemu zadał pytanie: czy można wnętrzności przechowywać w spirytusie skażonym. Odpowiedź brzmiała: nie można, gdyż spirytus skażony zawierał arszenik. Oskarżonego uniewinniono.

W Brzezinach oskarżona była żona zmarłego na chorobę żołądka. Po dokonaniu ekshumacji w żołądku znaleziono arszenik. Oskarżonej udowodniono, że choremu mężowi podawała jakieś lekarstwo, jednocześnie zaś stwierdzono, że flirtowała z parobkiem. Tłumaczyła się, że lekarstwo kupiła w aptece, jego zawartości nie znała. Kobyliński oparł się w przemówieniu obrończym o fakt, że arszenik zakopany do ziemi ma własność rozchodzenia się. Być więc może, że przedostał się do rozkopanego grobu z mogił sąsiednich. Prokurator zarządził ekshumację zwłok z sąsiednich mogił. Istotnie, stwierdzono w nich arszenik. Ale nikt nie podjął się udowodnienia, w której mogile arszenik znalazł się pierwszy. Oskarżona uniewinniono.

Kobyliński był autorem pewnego powiedzenia do dziś stosowanego wśród adwokatów. Przegrał kiedyś jakąś błahą sprawę o pobicie i rodzina skazanego zwróciła się do niego z pretensją, że zapadł wyrok niepomyślny. „Przeciwnie! — odpowiedział Kobyliński — bardzo pomyślny. Przecież sąd nam nie odmówił prawa do apelacji". A więc i dziś, jeśli adwokat przegra sprawę, mówią o nim, że „sąd mu nie odmówił prawa do apelacji".

Kasjer Komunalnej Kasy Oszczędności zwrócił się do Kobylińskiego z następującą sprawą: ukradł z kasy ponad 10 tys. zł. Jak uniknąć odpowiedzialności. „Czy w kasie coś zostało?" — zapytał Kobyliński. „Zostało 10 tysięcy". „Niech je pan do mnie przyniesie". Mając te pieniądze u siebie, Kobyliński zadzwonił do dyrektora KKO z zapytaniem, czy wie o kradzieży. Oczywiście nie wiedział. Kobyliński postawił go wobec alternatywy: albo odzyska 10 tysięcy, ale bez składania meldunku policji, albo musi się liczyć ze stratą ponad 20 tys. zł. Dyrektor wolał odzyskać 10 tys. i nie składać meldunku.

Jeżeli sędzia S.N. Supiński nazywał Kobylińskiego „zakałą adwokatury", to zapewne z tej także przyczyny, że ten genialny prawnik, żonglując znajomością prawa, przekraczał czasami nie tylko granice jakichś praw moralnych, ale również granice obowiązującego prawa państwowego. Bo tak chyba należy zakwalifikować następujące wydarzenie. Do kancelarii Kobylińskiego przyszedł znany z nieuczciwości kupiec i począł krzyczeć: „Zgubiony! Już koniec! Zgubiony!". Okazało się, że komornik nałożył pieczęcie na jego kasę pancerną, w której miał wszystkie pieniądze, weksle i kosztowności. Oto jakie wyjście znalazł Kobyliński. Okazało się, że sąsiad owego kupca miał dokładnie taką samą kasę. Kupiec — za radą adwokata — wziął od sąsiada weksel na 200 zł. Wówczas Kobyliński wytoczył sąsiadowi powództwo o owe fikcyjne 200 zł z wnioskiem o zabezpieczenie tej sumy. Wobec tego przyszedł komornik i nałożył pieczęcie na pustą kasę sąsiada. Po odejściu komornika kasy zamieniono miejscami. U kupca została pusta kasa a u sąsiada — pełna. I wtedy Kobyliński złożył oświadczenie, że 200 zł zostało zapłacone, skutkiem czego pieczęcie z kasy sąsiada zostały zdjęte i kupiec odzyskał cały majątek. Należy przyznać, że i to posunięcie było genialne. Ale na pewno nieuczciwe a nawet przestępcze.

Jesienią 1939 roku po obwieszonych swastykami ulicach Łodzi snuł się stary, niedołężny człowiek. Kupował czasem kwiaty i wręczał je pierwszej, spotkanej kobiecie. Albo padał na kolana przed gmachem sądu na pl. Dąbrowskiego i modlił się. Czy modlił się do Boga ukrzyżowanego na każdym z sędziowskich stołów, czy też widział w wyobraźni bóstwo, z którym się zbratał przez 75 lat swego życia: paragraf. Może w jego zawiłych liniach doszukiwał się tych kruczków, których nie dostrzegł wcześniej, nie wywlókł na światło sali sądowej i nie zakpił nim z sądu, strony lub prokuratora. „Wysoki sądzie! Można mi robić wiele zarzutów — ale na damskim dessous to ja się znam!" „Ja wiem, że uważacie mnie za świnię, ale kto zrobił tyle dla prawa polskiego, co ja?".

Umarł kilka miesięcy później w szpitalu św. Ducha w Warszawie.

* * *

Jeżeli Kobyliński był postacią barwną, to jego barwność pasowała do barw opartej o „geszeft" przedwojennej Łodzi. Jednakże, wspominając tę postać, nie można nie zwrócić uwagi czytelnika na pewien bardzo istotny moment. Znaczna część tej barwności wynikała z faktu, że w swoich poczynaniach Kobyliński nie znał hamulców moralnych. Toteż palestra dawnej i niedawnej Łodzi znała wielu wybitnych, zdolnych adwokatów, którzy szli jednakże zwykłym nurtem uczciwej pracy. Artykuł niniejszy nie jest monografią adwokatury łódzkiej, toteż nie siląc się na jakąś charakterystykę ogólną przypomnę tylko przykładowo kilka nazwisk adwokatów, którymi Łódź może się szczycić: Piotr Kohn — bezinteresowny obrońca polskich rewolucjonistów, Edmund Morzkowski — adwokat, a zarazem znakomity znawca literatury i świata antycznego, Edward Szyfer, Kempner, Forelle, i wielu innych.

JERZY URBANKIEWICZ

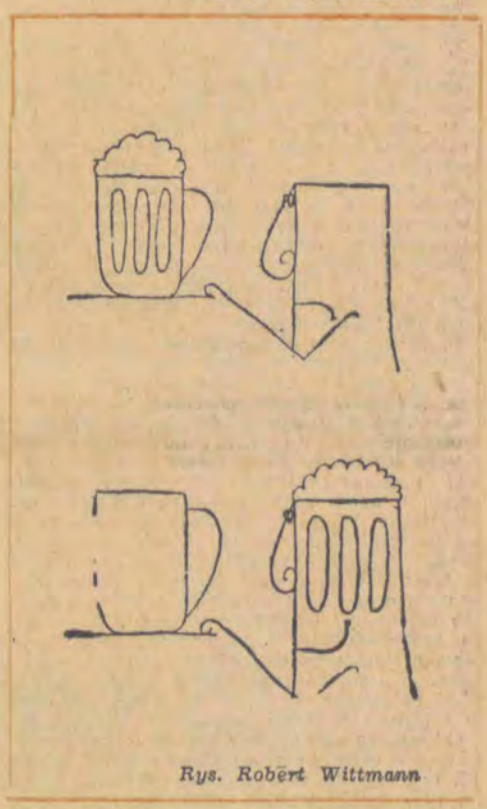

Rys. Robert Wittmann

---

rystyka była w powijakach więc dziś przy takiej dynamice...

Inne zarządzenie i to jak najbardziej słuszne zabrania kategorycznie pracy kierowcy powyżej dziesięciu godzin na dobę (w pierwszym dniu wycieczki wielodniowej — dwanaście), a tymczasem przeciętny program imprezy wykazuje, że kierowca będzie pracował czternaście godzin, jeżeli to nie wynika z godzin wyliczonych na programie ręką urzędnika (tu nazywa się „instruktorem turystyki"!) to na pewno wynika z samej trasy i założeń wycieczki.

Jesteśmy u źródeł naszego „konfliktu na szosie" — tkwią one w **zarządzeniach i w programowaniu wycieczek** te z kolei są efektem pogoni za zyskiem, **normami** i procentami, które przynoszą przekroczony plan, premie, splendor krzewiciela turystyki. Jakim kosztem to się odbywa? Pal licho, wszak cel uświęca środki...

Wiadomo na całym świecie, że turystyka przynosi zyski. W wielu krajach stanowi nawet poważną pozycję w dochodzie narodowym. Skoro więc i u nas chcemy handlować usługami turystycznymi nie można mieć tego nikomu za złe, ale... Ale jak już handel to niech i tu obowiązują zasady prostej, handlowej uczciwości. Uczciwość w turystyce polega nie tylko na wypełnieniu zobowiązań wobec klienta wynikających z obustronnej umowy, to także uczciwa **informacja turystyczna.** Tymczasem ta właśnie informacja polega na oferowaniu klientowi gigantycznych tras w krótkim czasie, na „olśniewaniu" i komponowaniu nierealnych programów imprez. Po przedstawieniu przez biuro i zatwierdzeniu przez klienta owego programu obie strony są zadowolone! Przede wszystkim biuro. Wiadomo kilometrów „od metra", wycieczka intratna, dochodzik murowany! Klient zachwycony w swej naiwności, że w t a k krótkim czasie t y l e zobaczą. J a k zobaczy — to już okaże się na trasie. Potem reklamacje, niezadowolenie, zmęczenie i zniechęcenie do turystyki.

Informatorzy nie silą się na omówienie trasy dokładnie, na wysuwanie propozycji typu **„mniej, a dokładniej"**, na próby połączenia poznania kraju z relaksem. Nie silą się na perswazję wobec klientów nastawionych na giganty wycieczkowe. Zresztą to nawet nie leży w interesie informatorów działających w imieniu biura turystycznego i wielokrotnie przekracza ich znajomość przedmiotu, o którym informują.

Jesteśmy oto na prostej drodze do **degeneracji turystyki za pośrednictwem... biur turystycznych!** Wyjątek chwalebny stanowi tu Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, traktujące ruch turystyczny, w każdej jego formie **poważnie** i doceniające znaczenie i funkcję turystyki w kształtowaniu światopoglądu obywatela. Chyba odmienność PTTK od innych instytucji parających się turystyką tkwi w doborze kadr pracowników w korzystaniu ze współpracy aktywu: ludzi rozmiłowanych, znających przedmiot, nie przypadkowych urzędników kształtujących ruch turystyczny!

Może ktoś powiedzieć: no tak, w końcu jednak ludzie podróżują, korzystają z usług biur turystycznych i są zadowoleni.

Z tym zadowoleniem to różnie bywa. Ci co chcą poznać cokolwiek na ogół nie są zadowoleni, ci co jadą dla uciech typu „alkohol na trasie" są obojętni co do trasy i wrażeń poznawczych.

Wiadomo, że zbiorowe wycieczki autokarowe nawet przy wzorowo opracowanym programie dalekie są od umożliwienia pełnego poznania zwiedzanego terenu, wiadomo sami uczestnicy bardzo często wypaczają istotę turystyki swym zachowaniem i nastawieniem na zgoła nie turystyczne odczucia.

Nie znaczy to jednak by imać się **najłatwiejszej linii oporu i kroczyć** nią w swej działalności, by gusty pseudo-turystów stały się programem obowiązującym przy organizacji masowych wycieczek.

Co najciekawsze: wielu przedstawicieli naszych biur turystycznych w pełni zdaje sobie sprawę z groźby degeneracji, a jednak nie czynią nic w kierunku zawrócenia z tej drogi.

Co dalej? Pytanie sakramentalne, ale odpowiedź wydaje się żenująco prosta. **Zerwać ze złymi tradycjami masowej turystyki!** Przekonywać, informować klienta, wreszcie odmawiać wręcz obsługi wycieczek o nierealnym programie wykoncypowanym przez klienta. W imię dobra turystyki zerwać z metodą „kilometry za wszelką cenę" nawet kosztem zmniejszenia zysków, ograniczyć zasięg dwu, trzy, cztero i pięciodniowych wycieczek na korzyść **lepszego poznania terenu i relaksu** uczestników w czasie wycieczek. W imię bezpieczeństwa uczestników autokary winny być b e z w z g l ę d n i e obsługiwane **przez dwóch kierowców** i w tej mierze nie może być żadnych względów, że zarządzenie, że „odgórnie", że brak etatów itp. Tu przecież chodzi o **życie ludzkie.**

Należy też wreszcie skończyć z przypadkowością w doborze kadr etatowych i wykonujących prace zlecone szczególnie tzw. pilotów. Pilot jest **koordynatorem całej wycieczki czuwa nad realizacją programu i powinien informować** uczestników na trasie o mijanych obiektach, zatrzymać się przy ciekawszych zabytkach. Obecność pilota na wycieczce turystycznej jest nieodzowna, ale też pilot winien reprezentować w pełni tego słowa turystykę. Nie będę w tym miejscu daleki od prawdy jeżeli stwierdzę, że minimum 50 proc. z 285 łódzkich pilotów, to ludzie nie nadający się do tej funkcji, przypadkowi, niedokształceni. Do tych 285 dochodzi jeszcze grupa „pilotów" nie objętych rejestrem ŁKKFiT, którzy pilotują, bogowie i kierownicy biur wiedzą tylko dlaczego! Dobry pilot to udana wycieczka.

Mamy też na terenie Łodzi 1.251 organizatorów turystyki w zakładach pracy. Wydaje mi się, że wielu z nich przeszkolono chyba „sobie a muzom". Inni znów są współautorami „dzikich" wycieczek ruszających „w Polskę" bez zapewnionych świadczeń, jak noclegi, wyżywienie, przewodnicy na trasie. Zjawisko „dzikich" imprez jest dalszym symptomem degeneracji turystyki. Przyczyny tego zjawiska dopatrywać się można w zniechęceniu instytucji do korzystania z usług biur powołanych do organizowania turystyki. Można tłumaczyć „dzikie" imprezy, ale nie można ich tolerować, gdyż stanowią one wypaczenie istoty turystyki i są „zawalidrogami" imprez zorganizowanych.

Ktoś powie: łatwo radzić, trudniej zrealizować. Zresztą zjawiska te występują wszędzie, nie tylko w Łodzi, wreszcie nie ma dyrektyw, zarządzeń... Tak, ale dlaczego właśnie nie z Łodzi miałaby wyjść inicjatywa i przykład **dobrego organizowania turystyki masowej.** Inicjatywa rzecz cenna, nie należy jej się bać i oczekiwać na odgórne dyrektywy... Myślę, że z tej choroby już się wyleczyliśmy.

Do inicjatywy trzeba też dobrej woli, pewnych wyrzeczeń i co w turystyce najważniejsze rozmiłowania. Pracownik turystyki musi być jej entuzjastą i nie wstydzić się uczyć i wychowywać, gdy zachodzi potrzeba.

Oczekujemy intensyfikacji i dalszego dynamicznego rozwoju ruchu turystycznego nie tylko w liczbach, ale i w jakości. Uwagi te czynimy chyba w porę, bo w przededniu nowego sezonu 1966 roku.

JANINA RZĄSA-ADYNOWSKA

PO TAMTEJ STRONIE ŁABY

Czy wiecie Państwo, co to jest „die Zone"? Telewizja zachodnioniemiecka pokazuje codziennie przy okazji informacji o stanie pogody mapę Niemiec. Mapa ta podzielona jest wężykami granic na kilka obszarów. Pierwszy z nich — to Niemiecka Republika Federalna. Drugi — to jest właśnie „die Zone" — dokładnie — „die Sowjetische", albo „die Sowjetisch besetzte Zone". Die Zone — jest to zachodnioniemieckie miano Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Trzeci obszar obejmuje ni mniej ni więcej tylko kawał Polski — tzn. Prusy Wschodnie i nasze Ziemie Zachodnie — dokładnie po granice sprzed drugiej wojny światowej. O tych ziemiach polskich mówi się, że są to „tereny wschodnioniemieckie pod tymczasowym zarządem polskim".

A zatem: Bundesrepublik. Sowjetische Zone i Ost-Deutschland.

W sferze oficjalnych pojęć bońskiej polityki, Niemiecka Republika Demokratyczna nie istnieje, pomimo że została ona uznana przez cały szereg państw i to nie tylko państw o ustroju socjalistycznym.

Na terenie NRD żyje dwadzieścia milionów Niemców. Wielu z nich na zasadzie dezaprobaty opuściło Niemiecką Republikę Federalną, i wybrało sobie na swoją ojczyznę Niemcy Demokratyczne. Niemcy ci mają własny rząd i udzielają temu rządowi swojego poparcia. Pomimo to, w Republice Federalnej, panuje niepodzielnie slogan, który już w szkole podstawowej wbija się dzieciom do głowy: „my, Niemcy zachodnie, jesteśmy jedynym przedstawicielem narodu niemieckiego". O Niemieckiej Republice Demokratycznej mówi się po prostu „die Zone", i wymawia się ten wyraz z wyraźnym akcentem pogardy.

W audycji telewizji zachodnioniemieckiej, poświęconej problematyce kobiecej, zabierała głos jako dyskutantka, przedstawicielka Indii. W dyskusji użyła sformułowania: „die Frauen aus der Deutschen Demokratischen Republik". Pan prowadzący dyskusję poprawił ją — z miłym zresztą uśmiechem na „die Frauen aus der Zone". Dyskutantka skwitowała tę poprawkę uśmiechem równie miłym i myliła się jeszcze kilkakrotnie, poprawiając sama Deutsche Demokratische Republik — na die Zone. W oczach jej tliły się ledwie dostrzegalne iskierki drwiny. Miałam wrażenie, że te „pomyłki" były celowe.

Niemcy z kręgu propagandy bońskiej, to ludzie zupełnie szczególni. Porozumienie się z nimi jest dla nas, wychowanych w zupełnie innej atmosferze, rzeczą niezmiernie trudną. Niezmiennie odnosi się wrażenie, że w ich przekonaniu świat zaczyna się i kończy na Republice Federalnej. Tam wszystko jest najlepsze. Powietrze, filmy, woda, chleb, a nade wszystko — polityka, i tzw. przeciętny Niemiec. Oczywiście, Niemiec z Republiki Federalnej. Ci — inni — się nie liczą. Przecież to tylko „Zone". Jedynie w West-Deutschlandzie wszystko jest w doskonałym gatunku — „über alles" — skąd my to znamy? Konkurować może jeszcze to, co amerykańskie. Inne narody, inne państwa nie istnieją, a jeśli istnieją, to się nie liczą. W każdym razie nie są warte, by się nimi zajmować, o ile to wyraźnie nie leży w interesie Niemiec zachodnich.

Odnosiłam stale wrażenie, że tych biedaków nie uczy się w szkole geografii, a jeśli, to geografii szczególnego gatunku. Pewna pani miała wielką ochotę zobaczyć Polskę. Spytała mnie, jakie miasta warto by było zwiedzić. Gdy wymieniłam jej Kraków, spojrzała na mnie, jak wół na malowane wrota. O czymś podobnym w życiu nie słyszała. Wreszcie spytała mnie, jak to się „dawniej" nazywało. Jakże może istnieć na terenie Polski miasto, które nie byłoby „rdzennie niemieckie"!

Niechęć do wszystkiego, co pochodzi z „Zony" — jak to w Niemczech zachodnich nazywa się Niemiecką Republikę Demokratyczną — jest u wielu ludzi wręcz zabarwiona nienawiścią. Opowiadała mi młoda niemiecka lekarka z Republiki, że kiedyś, w czasie otwartych granic, odwiedzała często swoich krewnych, zamieszkałych w Niemczech zachodnich. Pewnego razu wybrała się z nimi do lokalu. Przy sąsiednim stoliku siedziało jakieś rozbawione towarzystwo. Krewni byli wszystkiego ciekawi, ona chętnie udzielała informacji. Rozmawiano dość głośno. W pewnym momencie towarzystwo z sąsiedniego stolika zaczęło się przysłuchiwać rozmowie, aż wreszcie podniosło się z głośną uwagą, że zaczyna śmierdzieć w lokalu, bo znowu przyjechał ktoś z „Zony". Ludzie ci, obdarzeni tak niezwykle wrażliwymi nosami, na znak protestu, opuścili lokal.

Trochę podobna, aczkolwiek z innego cyklu historia, wydarzyła mi się w Gerze. Siedziałam przy stole w kawiarni razem z moimi kolegami z teatru. Do jednej z koleżanek przyjechała w odwiedziny krewna z Niemiec zachodnich, starsza i na oko sympatyczna dama. Dama ta nie wiedziała, że jestem z Polski. W rozmowie padło stwierdzenie, że Wrocław leży w Polsce. W oczach damy pojawiły się wściekłe błyski.

— Od kiedy to Śląsk jest Polski?!

— Po długiej przerwie znowu od roku 1945. Czyżby pani o tym nie wiedziała? — poinformowałam grzecznie.

Starszą panią zatkało. Siedziała nabzdyczona jeszcze z pięć minut, a potem pożegnała się i poszła. Widocznie też jej coś zaśmierdziało. Działa mapa propagowana przez zachodnią telewizję i działa coś jeszcze, coś co dobrze znamy sprzed dwudziestu lat.

Opowiadała mi moja znajoma, która szkołę kończyła w Niemczech zachodnich, że na temat ostatniej wojny światowej poinformowano ją w sposób następujący: „Druga wojna światowa trwała od roku 1939 do roku 1945. W wyniku jej Niemcy utraciły swoje tereny na wschodzie". Informacja, można powiedzieć, krótka. Krótka, ale treściwa. Po słowie „utracić", przychodzi z reguły „odzyskać".

Są ludzie, którzy niczego się nie uczą, bo się niczego nauczyć nie chcą. Pomimo bogatej literatury rozrachunkowej, dostępnej także w Niemczech zachodnich, nie chcą przyjąć do wiadomości właściwej oceny niemieckich poczynań z lat 1933—1945. Są ludzie, w których żyją głęboko zakorzenione mity o prawie narodu niemieckiego do „cywilizowania" innych narodów. W czasie ostatniej wojny nic się przecież nadzwyczajnego nie zdarzyło. Wojna, jak wojna. Każdemu przecież wolno prowadzić wojnę i „zdobywać" nowe tereny. Wolno iść choćby za Ural. Nikomu przez to nie stałaby się krzywda. A cóż to za dzikusy, ci Rosjanie, strzelający do Niemców pod Stalingradem! Pewna znajoma pani, lat około trzydziestu, oświadczyła mi kiedyś:

— Nienawidzę Rosjan, to zbrodniarze!

— A co ci Rosjanie zrobili?

— Zamordowali mojego wuja.

— Gdzie?

— Pod Stalingradem!

— A po co wujo tam poszedł?

— No, szedł, bo musiał!

— Rosjanie też musieli strzelać i bronić swojej ojczyzny. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby nazi wygrali wojnę?

— A cóż by się takiego stało, gdyby Niemcy wygrały wojnę?!

Tego było mi już za dużo. Przecież nic nie dociera do tego zakutego łba!

— To by się na przykład stało, że teraz, zamiast siedzieć ze mną przy stole, myłabyś się mydłem z mojego tłuszczu, albo spała na materacu z moich włosów! — huknęłam.

Myślicie Państwo, że to do niej dotarło? W tym wypadku — nie!

W okresie procesu oświęcimskiego była moda na rozmowy — nazwijmy to — rozrachunkowe. Pewna dama mówiła z ubolewaniem: „To, co robił Hitler, to było na prawdę za dużo. Nie można tak po prostu zabijać ludzi, choćby to byli nawet Żydzi, Rosjanie, czy..." — tu spojrzała na mnie i zamilkła. Grzecznie, rzeczowo, bez zmrużenia oka i z uśmiechem dokończyłam za nią rozpoczęte zdanie: „...czy Polacy". Ze złośliwą satysfakcją obserwowałam jak dama oblewa się pąsem. No, coś podobnego! Co za gafa! Przecież ta „Żanina" — jak mnie tam nazywano — która siedzi vis à vis przy stole to Polka! Pani ta widziała w swoim sformułowaniu tylko towarzyską gafę. Nic więcej.

Ludzie pielęgnujący w sobie tego rodzaju pojęcia, nie mogą czuć sympatii do „Zony". W tej chwili często już nie mogą porozumieć się ze swoimi najbliższymi z Republiki. I ci najbliżsi to nie muszą być wcale komuniści, bo skąd by się ich tylu brało. Po prostu myślą inaczej.

Jak wygląda informacja w Niemczech zachodnich na temat Republiki, świadczy o tym zawartość paczek świątecznych, jakie otrzymują krewni i znajomi z NRD od swoich bliskich z Republiki Federalnej. Proszek do prania, mydło, DDT, stare ciuchy, a jeśli jest i trochę słodyczy, to w najgorszym gatunku. Wszystko to jest dość dobre, skoro idzie do „Zony". Tam i tak niczego nie ma. Znajoma moja lekarka z NRD, w czasie swojego pobytu w Niemczech zachodnich, była świadkiem następującej sceny. Do sklepu weszła jakaś dobrze ubrana pani i zażądała pół kilo czekolady. Ekspedientka zapytała ją, jaki gatunek sobie życzy. Klientka poprosiła o najtańszą, wyjaśniając, że czekolada idzie do „Zony". To jest rodzaj terminu. Czekolada do „Zony", mydło do „Zony", kiecka do „Zony". Najtańsze.

Sama byłam świadkiem, kiedy zamożni ludzie posiadający konta bankowe i piękne mieszkania, musieli na zasadzie grzeczności przyjmować jako prezenty z NRF buble, z którymi nie wiedzieli co robić. A tu dobre wychowanie każe jeszcze podziękować za prezent!

„Die Zone" to nie jest nawet przezwisko. „Die Zone" to mit. Mit, potrzebny polityce bońskiej.

W Republice Federalnej są ludzie, którzy się duszą. Ludzie ci manifestują swoje inne od ogólnie przyjętego zdanie i podejmują próby dyskusji ze społeczeństwem. Jest to grupa krytycznych pisarzy, nazwanych przez kanclerza Erharda „pinczerami", są to grupy inteligencji twórczej i studentów, są to wreszcie uczestnicy Wielkanocnego Marszu, który zapewne i w tym roku wyruszy przez drogi Republiki Federalnej. Ich wpływ na społeczeństwo, jest jeszcze, niestety, zbyt mały. Są wreszcie ludzie sympatyzujący z NRD, często komuniści z przekonania. Ludzie ci odwiedzają Republikę i interesują się jej sprawami, ale ich nazwisk nie wymienia się, aby im oszczędzić przykrości, gdy wrócą na Zachód.

Moi przyjaciele z Republiki, młode małżeństwo, oboje mili i kulturalni ludzie, są uchodźcami z Niemiec Federalnych. Od wielu już lat mieszkają w Republice. Gdy spytałam, co zadecydowało o ich przyjeździe do NRD, odpowiedzieli mi: „W atmosferze, która tam panuje, nie można oddychać. Można się tylko udusić". Ludzie ci mają czterech synków. Czterech młodych Niemców. Przenosząc się do Republiki myśleli także i o chłopcach. Nie chcieli, aby ich Jörge czy Klaus dowiedzieli się w szkole, że „druga wojna światowa trwała od 1939 do 1945 roku. W wyniku jej Niemcy utraciły swoje ziemie na wschodzie". Chcą, by dowiedzieli się czym był i jest militaryzm niemiecki.

W Kraftsdorfie, niedaleko Gery, znajduje się Aufnahmeheim — hotel dla przesiedleńców z Niemiec zachodnich. Hotel ten ma stale nowych pensjonariuszy. Tu czekają oni na załatwienie formalności, na przydział pracy i mieszkania. Są to ludzie wybierający sobie ojczyznę, której polityka bardziej im odpowiada. Te fakty demaskują mit o „jedynych przedstawicielach narodu niemieckiego". Są dwa państwa niemieckie i dwie niemieckie racje stanu.

Fot. W. Parys

LECH UTRACKI

STRATFORD UPON AVON

Co to jest przygoda, jakie są jej elementy? Życie bez przygód jest szare i monotonne.

O przygodzie marzą wszyscy, nawet ci, których wygodnictwo praktycznie pozbawia szansy na jej spotkanie. Przygoda to jakieś pamiętne zdarzenie, doświadczenie, coś niezapomnianego; zawiera w sobie elementy dramatyczne, związane z podejmowaniem decyzji ryzykownych... Dla dziecka przygodę stanowi spotkanie z trzmielem, młodemu człowiekowi wystarczy otworzyć się, odsłonić a kłębiące się wokół niego życie przyniesie mu coraz to nowe doświadczenia i przygody. Z biegiem lat zupełnie przypadkowe przygody zdarzają się coraz trudniej, coraz więcej doświadczeń zostało już poza i okazuje się, że nawet przygody trzeba sobie umiejętnie organizować. Trzeba wychodzić im naprzeciw, pozostawiając przy tym duży margines przypadkowości, warunkującej przecież spotkanie przygody.

Dla mego przyjaciela Dave'a największą przygodą było dostanie się z Limy do Brazylii. Wykupił bilet lotniczy w USA, lecz nie zarezerwował miejsca. W Limie okazało się, że najbliższe wolne miejsce będzie dopiero za dwa tygodnie — wtedy miał już rozpocząć pracę w Anglii. Poradzono mu by przedostał się przez Andy i wyżynną dżunglę autobusem. To była ta przygoda. Przez trzy dni bez jedzenia przedzierali się przez 250 km odcinek dżungli co parę kilometrów wspólnymi siłami wyciągając autobus z błota. Wszystko było przypadkowe, nowe, tchnące przygodą. Nawet, gdy przebycie tego odcinka z góry zaplanował sobie takimi środkami transportu i w taki sam sposób nie byłoby to już to samo: zbyt mały zostałby margines przypadkowości, zabija radość, świeżość przygody.

Ani wyprawy do Aldwych Theatre ani pobytu w Stratfordzie nie planowałem. Przechodząc w Londynie koło teatru wstąpiłem zapytać o bilety na ten sam wieczór. Prawdę mówiąc szaleństwem było przypuszczać, że je dostanę, gdyż jak mi mówiono wszystkie miejsca są wykupione. Okazało się, że kilka minut wcześniej ktoś zwolnił dwa zarezerwowane bilety!

Zespół Royal Shakespeare Company (w skrócie: RSC grywa na dwu scenach: w sezonie letnim w swym macierzystym teatrze w Stratfordzie, w zimowym w Aldwych. Zespół powstał w 1827 r., lecz tradycją swą sięga corocznych festiwali Shakespeare'owskich rozpoczętych w 1769 r. — przez najsłynniejszego aktora swych czasów Davida Garrica. Zgodnie z tradycją na scenie w Stratford zespół wystawia sztuki Shakespeare'a, repertuar w Londynie jest nieco bardziej urozmaicony: aktualnie w obecnym sezonie grany jest „Rewizor" Gogola, „The Investigation" („Śledztwo") Petera Weissa — dramat oparty na faktach niedawno zakończonego procesu frankfurckiego zbrodniarzy z Oświęcimia, komedię „The Homecoming" (Powrót) Harolda Pinetera oraz największą niespodziankę sezonu, rewelacyjnie reżyserowanego i granego Hamleta.

Przedstawienie oparte o tekst drukowany z 1604 r. trwa 3 godz. i 45 min., plus jedna 15 min. przerwa po dwu i pół godzinach. Reżyser nie daje chwili wytchnienia ani aktorom, ani widzom. Sztuka, po tylekroć razy oglądana wciąga, absorbuje, iż czas przestaje się liczyć. Dopiero po wyjściu z teatru ogarnia człowieka zdumienie i podziw — byłem świadkiem niebywałego wyczynu: nadzwyczajnej, niezmordowanej gry aktorów i niezwykle sprawnej organizacji technicznej przedstawienia.

Lecz kilka słów o samym reżyserze. Peter Hall ma 35 lat, w 1955 został dyrektorem Arts Theatre w Cambridge, w 1960 dyrektorem Royal Shakespeare Company (RSC). Hamlet jest trzynastą reżyserowaną przezeń sztuką Shakespeare'a. Jego wiek, jego powiązanie z Cambridge widoczne są w Hamlecie.

Główną rolę gra David Warner. Od 1963 r. grywa w RSC, głównie w sztukach Shakespeare'a (Ryszard II, Henryk IV) co nie przeszkadzało mu brać udziału w dwu filmach. Jest to rudawy dwudziesto kilkulatek, wysoki i szczupły, o ruchach energicznych, kanciastych, twarzy nieładnej lecz sympatycznej. Jego Hamlet to młody student z Cambridge, ze słynnym „scarf" — szalikiem długości czterech metrów oznaczającym przynależność do college'u, w białej, współczesnego kroju koszuli, modnych wysokich butach i wąskich spodniach, z peleryną stylizowaną na czarne płaszcze-togi, jakie studenci Cambridge i Oxfordu obowiązani są przywdziewać idąc na wykład, lub do miasta. Nie tylko strój, uczesanie lecz przede wszystkim zachowanie, reakcje Hamleta-Warnera są reakcjami współczesnego chłopca. Jest wściekły, krzyczy, krzyczy niemal bez przerwy przez 4 godziny! Tekst Shakespeare'a jest jego własnym, wydzieranym z siebie tekstem. Jego szaleństwo ma w sobie wiele ze szczeniackiego małpiarstwa „robienia balona" z ojczyma-stryja, z niedoszłego teścia Poloniusza czy nudzącej go wydrowatej Ofelii. Jest metodą dręczenia matki, jest metoda przekonania się o realności zarzutów nocnej mary dawnego króla-ojca o jej rzeczywistym istnieniu.

Hamlet nie bierze życia na serio. Słynny monolog na cmentarzu można streścić westchnieniem: „Ależ, to wszystko jest kpiną, nic nie war tym dowcipem zaczętym przez urodzenie, lecz nie kończącym się nawet po śmierci!" Nie bierze na serio swego życia, nie bierze na serio życia innych. Przekonawszy się, że Rosencrantz i Guildenster byli mu dodani jako eskorta w drodze do Anglii, gdzie miano go zamordować, wysyła tamtych na pewną śmierć o czym śmiejąc się opowiada później Horacjuszowi. Tym samym śmiechem wita posła Anglii donoszącego mu o dokonanym morderstwie, tym samym śmiechem wita wiadomość o czekającej go za chwilę śmierci, z tym samym śmiechem, zraniony w pojedynku rzuca się na Laertesa, by zabić.

Pojedynek i scena końcowa są najlepszym fragmentem: zarówno jeśli chodzi o reżyserię, aranżację pojedynku, jak i grę aktorów. Sceny są naturalistyczne: o tym, że królowa została otruta można przekonać się naocznie: wymiotuje fontannami, zalewając cały stół (jak oni to zrobili?), krew leje się obficie z każdej rany, ugodzony Klaudiusz wyje z bólu. Podobnie już wcześniej Poloniusz. Scena wygląda jak rzeźnia lub pobojowisko (Dave mruknął ze zdumieniem czy podziwem: „What'a mess!"). Hamlet zataczając się ze śmiechu, pochyla się nad konającym Klaudiuszem lejąc mu w ucho resztę nie dopitej prze-

LORD HAU-HAU

Lord Hau-hau (lord Haw-Haw) — takie przezwisko nadała prasa brytyjska, a w ślad za nią amerykańska, spikerowi, który w języku angielskim (a władał nim biegle) z hitlerowskiej rozgłośni hamburskiej w czasie ostatniej wojny „obszczekiwał" Wielką Brytanię.

Tajemniczy ów lord Hau-hau atakował przez radio z zadłości, sarkazmem, nienawiścią angielski rząd, obrzucał Anglię potokiem goebbelsowskich pogróżek i proroctwami zagłady Wielkiej Brytanii. Celem tych audycji było szerzenie niepokoju, nawet paniki, wpojenie w słuchaczy przekonania o potędze i wszechwiedzy Trzeciej Rzeszy.

Z początku słuchano w Anglii sarkastycznego lorda Hau-hau po to tylko aby się pośmiać. Jego przemówienia radiowe, wygłaszane w stylu hitlerowskich szczekaczek nie tylko nie robiły na nikim większego wrażenia, ale nawet pobudzały do śmiechu. W Anglii nie zagłuszano niemieckich radiostacji, a ich słuchanie nie było zabronione. Dziś się oblicza, że ok. 13,5 procent Anglików odbierało audycje lorda Hau-hau, traktując to jako świetną zabawę.

Zabawa była tym lepsza, że lord Hau-hau zmuszony był nieraz odczytywać teksty przygotowane nie przez siebie, ale przez speców od goebbelsowskiej propagandy, które zawierały często błędy językowe. Spikerowi zaś nie wolno było zmienić ani jednego słowa w przekazanym mu do odczytania tekście. Niemcy obawiali się bowiem, że spiker zmieniający słowa, może w ten sposób zaszyfrowanym kodem przekazywać nieprzyjacielowi informacje. Toteż nieraz lord Hau-hau zgrzytał zębami, gdy musiał odczytywać kiepsko sformułowane wiadomości, wiedząc, że słuchacze będą się śmiali. Raz, podobno, gdy miał przeczytać, że niemiecka torpeda trafiła w czajnik brytyjskiego okrętu (zamiast „boiler" w tekście było „kettle") nie wytrzymał i ryzykując nawet swą karierę zmienił wyrażenie na właściwe.

Padła Francja, Hitler zagroził inwazją Anglii. Zalew niepokojących pogłosek zaczął obiegać Wielką Brytanię. I nagle audycje tajemniczego lorda Hau-hau przestały bawić i śmieszyć. Zyskiwały posłuch, przynajmniej częściowy. Niektórzy słuchacze dawali się przekonać, że wiadomości przekazywane przez niemiecka radiostację są prawdziwe. Narastała legenda wszystko wiedzącego, diabolskiego Anglika, który przemawiał w imieniu Trzeciej Rzeszy. A lord Hau-hau był rzeczywiście szczegółowo, zdumiewająco szczegółowo, o wszystkim poinformowany. Na przykład mówił, że w angielskiej miejscowości takiej to a takiej zegar ratuszowy opóźnia się o kilka minut. I rzeczywiście, wszyscy mogli sprawdzić, że zegar opóźniał się o parę minut. Wiedza spikera była zadziwiająca także jeśli chodziło o rozmieszczenie i szczegóły dotyczące angielskich fabryk. W pewnej miejscowości w środkowej części Anglii wstrzymano nawet produkcję w fabryce amunicji, ponieważ lord Hau-hau zapowiedział, że w przeciągu kilku najbliższych dni fabryka zostanie zbombardowana przez niemieckie lotnictwo. Podając dokładnie topografię terenu lord Hau-hau wołał szyderczym tonem: „Nie zadawajcie sobie trudu, aby budować nową fabrykę, choćby dobrze zamaskowaną! Nie będzie ona wam przydatna". Podobnie radził mieszkańcom Portsmouthu, aby odstąpili od zamiaru wymiany starych szyn tramwajowych na nowe. „O usunięcie starych szyn zadbają niemieckie bomby" — szydził lord Hau-hau.

Było absurdem sądzić, że szpiedzy niemieccy w Anglii mają tak gęstą siatkę wywiadowczą i że interesują się starymi szynami tramwajowymi oraz śledzą na którym ratuszu zegary spóźniają się lub śpieszą. Musieliby mnóstwo drobiazgowych informacji przekazywać natychmiast drogą radiową, gdzie cała potężna armia specjalistów odszyfrowywałaby zakodowane wiadomości, sporządzała maszynopisy i w ciągu bardzo krótkiego czasu musiałaby przekazywać je lordowi Hau-hau. Ale spośród tych, którzy słuchali szczegółowych informacji, mało kto zastanawiał się w jaki sposób docierają one do lorda Hau-hau. Legendarny lord wiedział wszystko. Wiedział i to w bardzo prosty sposób. Oto przez państwa neutralne docierały do niego, w ciągu jednej doby, angielskie gazety, wśród nich i gazety prowincjonalne. Wypisywał więc z nich wiadomości, nieraz drobiazgowe i niezbyt ważne. Ale, podawanie ich przez radio robiło wrażenie, że spiker goebbelsowskiej szczekaczki wie o wszystkim.

W czasie największego nasilenia propagandowego słuchało lorda Hau-hau codziennie lub prawie codziennie 6 milionów Anglików, a 18 milionów nieregularnie. O audycjach tych dyskutowano publicznie, debatowano nad nimi w parlamencie, BBC zwalczała niemieckie argumenty w audycjach krajowych, prasa podejmowała akcję wyjaśniającą, a kabarety zaczęły ośmieszać lorda Hau-hau. Wkrótce demoralizujące działanie wrogich audycji zaczynało powoli zanikać.

Kim był ów legendarny lord Hau-hau ujęty w dniu 28 maja 1945 roku na terenie Niemiec, przewieziony do Anglii, postawiony przed sądem i skazany na śmierć?

Nazywał się William Joyce. Urodził się w Ameryce, był z pochodzenia Irlandczykiem. Podczas powstań irlandzkich przebywał w Irlandii, gdzie pracował jako tajny agent w służbie Anglików. Potem przeniósł się wraz z rodziną do Londynu. Tu studiował psychologię wychowawczą. Najpierw należał do partii konserwatywnej, rozczarowany, uznał, że jego właściwe miejsce jest w szeregach angielskich faszystów. Ówczesna partia faszystowska w Anglii niewiele się różniła od hitlerowskiej. Talent krasomówczy, jakim odznaczał się Joyce, sprawił, że stał się on wkrótce jednym z bardziej czynnych działaczy ruchu angielskich nazistów.

Zbliżała się wojna. Joyce czy dlatego, że bał się jako faszysta internowania go w razie działań wojennych — tak tłumaczył się później na procesie — czy też dlatego, że jak wówczas twierdził, chciał „w złym i dobrym dzielić swój los z Niemcami", dość że 27 sierpnia 1939 roku opuszcza wraz z żoną Anglię i zjawia się w Berlinie. Nie czeka go tam zbyt serdeczne powitanie. Zawiedziony, próbuje nawet wracać do Anglii. Hitlerowcy traktują go z pogardą i lekceważeniem, a już w żadnym przypadku nie okazują mu zaufania i szacunku. Podejrzewali bowiem, że Joyce jest zwiadowcą nasłanym przez angielski Secret Service. Nie bez podstaw zresztą. Joyce przed wyjazdem z Anglii — jak to ujawnił później jeden z oficerów brytyjskiej służby wywiadowczej — ofiarowywał swą gotowość do usług jako angielski szpieg na terenie Niemiec.

Hitler i jego generałowie przygotowywali się do wojny starannie, opracowując plany w najdrobniejszych szczegółach. Należało się spodziewać, że rozbudowali także nowoczesny aparat propagandowy dla prowadzenia wojny psychologicznej. Ale tego właśnie nie uczynili, przynajmniej jeśli chodziło o propagandę anty angielską.

W Wielkiej Brytanii rząd zaczął przygotowania wojenne dopiero pięć przed dwunasta. A jednak we wrześniu 1939 roku ośrodki radiowe niemieckie były znacznie gorzej zorganizowane dla propagandy antyangielskiej, mniej miały spikerów mówiących po angielsku, redaktorów i sprawozdawców niż odpowiednie siły w BBC dla propagandy antyniemieckiej.

Wykorzystanie angielskiego faszysty nie było przez Niemców zaplanowane. On sam się nagle pojawił proponując swe usługi. Pierwsza próba Joyce'a jako spikera radiowego wypadła źle. I niewiele brakowało, aby nigdy nie stał się osławionym lordem Hau-hau. Jeden z pracowników radiowych przekonał jednak innych, że Joyce jest utalentowany i że można na niego liczyć.

Tak więc we wrześniu 1939 roku angielski faszysta William Joyce przezwany później lordem Hau-hau, wystąpił przed mikrofonem w służbie Goebbelsa.

Proces Joyce'a trwał dość długo i obfitował w wiele najprzeróżniejszych problemów natury prawnej. Głównym zagadnieniem do rozstrzygnięcia było czy Joyce, będąc urodzony w Ameryce jest obcokrajowcem czy nie, i czy ma odpowiadać za zdradę stanu. Prawo angielskie jednak w tej kwestii opierało się na starożytnym dokumencie, pochodzącym jeszcze z roku 1351 spisanym francuszczyzną Normanów. Ponadto tekst ten nie posiada interpunkcji, a dzięki temu wyłania się zawsze możliwość rozmaitej interpretacji postanowień prawnych. W procesie precedensowym przeciwko Rogerowi Casement jaki toczył się w roku 1916 oparto się również na tym starym dokumencie, ale Casement organizował na terenie Niemiec siły zbrojne irlandzkie, mające walczyć przeciw Anglikom. „Chroń mnie Boże — pisał Casement — przed badaczami starożytności, którzy życie człowieka uzależniają od jednego przecinka...".

Po długich debatach sąd zdecydował, że Joyce odpowiadać musi za zdradę stanu. Zapadł wyrok śmierci, wykonany w dniu 3 stycznia 1946 roku.

Gdy Joyce oczekiwał kata, pisał swój ostatni list z serdecznymi pozdrowieniami do żony i po raz ostatni wykładał swoje poglądy polityczne. List kończył się trzykrotnym „Sieg Heil".

Joyce umierał być może przeświadczony o słuszności swoich poglądów, ale przebywając na terenie Niemiec nie wstąpił do NSDAP, ponieważ poza Hitlerem i Goebbelsem nikt nie cieszył się jego uznaniem. Niemców Joyce uważał za defetystów i samochwalców, którzy nie są godni, aby realizować idee narodowego socjalizmu. Takie to poglądy lord Hau-hau wyłożył w swym ostatnim, pożegnalnym liście.

Dodajmy od siebie, że nawet groza bliskiej śmierci nie wyleczyła na wpół legendarnego, na wpół groteskowego lorda Hau-hau od kabotyństwa.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Kazimierz Kowalski — **POŚRODKU LASU** — W. Łódzkie, cena zł 11.—

Tadeusz Hołuj — **JEDEN STAMTĄD** — Iskry, cena zł 15.—

Boy — **SŁÓWKA**, WL, cena zł 25.—

Zygmunt Greń — **KSIĄŻKA NIENAPISANA**, WL, cena zł 22.—

Maria Rzepińska — **STUDIA Z TEORII I HISTORII KOLORU**, WL, cena zł 35.—

Kazimierz Raciewicz — **ZA SIÓDMĄ GÓRĄ**, WL, cena zł 10.—

Tadeusz Witowiecki — **TU MÓWI „ŻELAZO"**, W. Łódzkie, cena zł 17.—

Remigiusz Napiórkowski — **WOŁANIE O DESZCZ**, WL, cena zł 12.—

Igor Sikirycki — **NOCNY POLÓW**, W. Łódzkie, cena zł 10.—

Jan Koprowski — **POTOMKOWIE TESPISA**, W. Poz., cena zł 12.—

Wojciech Natanson — **STANISŁAW WYSPIAŃSKI**, W. Poz., cena zł 26.—

Wstęp do badania dzieła filmowego, WAiF, cena zł 60.—

LIRYKA POLSKA, WL, cena zł 60.—

PRZYGODY Z PEGAZEM

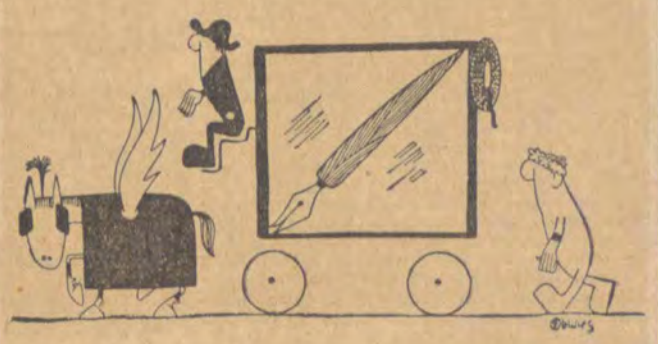

Gertrudę trucizny — piękna paralela do źródła intrygi. Pyszny, pewny siebie i piękny w błyszczącej zbroi Fortynbras, książę Norwegii i brzyszły król Danii jest przedstawiony jako głupi żołnierz nie wiedzący czemu gubiący swe wojsko w dalekiej Polsce. Hamlet kpi z niego, bez znając to co zwykło się zwać „wolą ludu" wyznacza go na swego następcę. W zamian za co zostaje pochowany z honorami wojskowymi.

Jest to gorzka sztuka. Pełna podtekstów stawiających tekst w zupełnie innym świetle. Ofelia (gra ją Janet Suzman) jak już wspominałem jest grana na zła, przebiegła, działa na rękę intrygantom wydrenowej szaleństwo nie jest szaleństwem, lecz gra na złość, sposobem zemsty na innych, zemsty której szczytem jest samobójstwo: ta sama niedbałość w stosunku do życia. Nowy sposób odczytania tekstu Shakespeare'a jest klarowny, bez zarzutu logiczny, nowoczesny i bliski nam, bliski naszemu pojmowaniu świata. Kiedy prof. Kott opowiadał, iż będzie chciał wystawić Hamleta we współczesnych nam strojach spierałem się, że pomysł jest sztuczny, pozbawiony szans powodzenia. Po zobaczeniu Hamleta w wystawieniu Peter Halla jestem odmiennego zdania. Został zrobiony wielki krok w tym kierunku i sukces obecnej wystawy jest pewną gwarancją na przyszłość. Mym głównym argumentem w sporze była niekonsekwencja: stary język Shakespeare'a contra współczesna scenografia i kostiumy. Dziwiło się sądzić, że język dramatu może być przyjmowany przez widownię swobodnie w ciągu około 50 lat. Później przeżywa się i sztuka traci, martwieje. W Wielkiej Brytanii słynnej z rozmaitości codziennego języka w różnych rejonach, tu gdzie dzieła Shakespeare'a wałkowane są w szkole i każdy z mieszkańców tej wyspy zwłaszcza Hamleta widział niejeden raz w życiu moje zarzuty muszę przyznać, były niesłuszne. Może zresztą jest to potęga dramatu, wciągającego tak, iż przestaje się odczuwać obcość tekstu, zresztą mniejszą w wymowie niż w pisowni.

Sezon zimowy w Aldwych kończy 12 marca „Rewizor". Zespół przenosi się na letnie popisy do Stratfordu. Tu w 1564 r. urodził się Shakespeare, tu przypuszczalnie chodził do szkoły, tu ożenił się mając 18 lat i tu powrócił w sławie i bogactwie w 1597 r. by w 19 lat później dokonać żywota i zostać pochowanym w miejscowym kościele. Trudno wymagać by większa ilością węzłów można się było związać z jednym miejscem. Do dzisiaj Stratford jest małym miasteczkiem i choć jak twierdzą jego mieszkańcy wywodzi się aż z osady człowieka prehistorycznego a już w VII wieku był tu klasztor i ośrodek handlowy uwarunkowany istnieniem brodu przed Avon nie błyszczał świetnością.

Sławę i dobrobyt miastu przyniósł Shakespeare, a dokładniej ruch turystyczny noszący w sobie znamiona pielgrzymki. Miasteczko niewiele większe od Łowicza nosi znamiona dobrobytu, którego źródło jest aż nazbyt widoczne: dziesiątki hoteli, moteli, sklepów z pamiątkami, agencji turystycznych, luksusowych restauracji (najbardziej znana: „Czarny Łabędź" w żargonie tutejszym nosi nazwę „Pod Brudnym Kaczorem" — to historyczna stara nazwa dawnego pubu, namiętnie odwiedzanego przez aktorów RSC z pobliskiego teatru).

Dobrobyt Stratfordu nie powinien budzić zazdrości, jak nie budzi odruchów sprzeciwu. Miasteczko jest położone ślicznie, nad wijącą się rzeką, w pagórkowatym terenie o wielu maleńkich laskach czy gajkach. Wielka puchata sowa powoli przeleciała nad naszym samochodem tuż przed jego rogatkami. Otaczające wioski mają białe rozległe domy poprzecinane czarnymi dębowymi bierwionami, kryte są trzciną jak za czasów Shakespeare'a. Jest to śliczny kraj „małych rzeczy foremnych". Miasto posiada zastanawiająco dużo dobrze zachowanych budynków w stylu Tudor: cała konstrukcja z dębowych bali a „okna" między belkami wypełnione są gliną zmieszaną z trocinami oraz kamieniami. „Okna" są bielone a belki widoczne z obu stron ściany. W takim domu urodził się Shakespeare, w takim mieszkał on, jego dzieci, jego rodzice. Do dziś zachował się dom oraz przylegający doń warsztat rękawicznika, handlarza wełną, wolnego obywatela miasta Stratfordu Johna Shakespeare'a ojca Williama. Słynny przez syna mieszczuch nie należał widać do zbyt porządnych, gdyż jeden z nielicznych dokumentów wystawionych na widok publiczny w tym domu, to nakaz zapłacenia grzywny za wyrzucanie śmieci na ulicę.

Stratford w ciągu roku odwiedza ok. 400.000 turystów! Nie wszyscy jednak odbywają pielgrzymkę do miejsca urodzenia Shakespeare'a, jeszcze mniej wpisuje się do księgi pamiątkowej. W ciągu ostatniego 10-lecia odwiedziło ten dom 136 Polaków — byli oni jednymi z 96 narodowości.

Turystyka w zimie ma swe złe strony — dzień krótki, nie wszystkie warte obejrzenia miejsca są dostępne. Ogromną zaletę stanowi jednak brak tłumu współturystów. Dzięki temu znudzony bezczynnym siedzeniem przewodnik rzuca się na nieśmiało uchylającego drzwi turystę, traktuje go jak wybawienie, urozmaicenie, gościa z dawna oczekiwanego. Rozczulające jest słuchanie jak oni opowiadają o Shakespearze, o jego czasach, o budynku, nad którym teraz sprawują opiekę. W Stratfordzie spędziłem sporo czasu i metodycznie obszedłem wszystkie turystyczne „stacje" Shakespeare'owego żywota. Wrażenie nie jest wysnute na podstawie jednej wizyty. Wielki dramaturg przestaje być Wielki: jest to ktoś kto tu przebywa jako ukochany, obarczony słabostkami, zwykłymi ludzkimi uczuciami człowiek.

„To jest stół, przy którym zwykł być siadywać" — mówi starsza siwa pani. — „Tu prawdopodobnie toczyły się długie dysputy z zięciem nie mniej sławnym niż w owych latach sam Shakespeare doktorem Johnem Hallem. Budynek i meble są te same. Jedynie podłogę drewnianą skopiowano i sporządzono nową na miejsce starej wydeptanej". „Zwróćcie uwagę na te listy (do dr Halla). Czy to nie zdumiewające, że mimo wszystkich tych lat i tego co one z sobą niosą jesteśmy wciąż tacy sami".

W domu Johna Shakespeare'a jest maleńka izdebka na parterze, tuż obok kuchni. Podłoga wyłożona jest wielkimi kamiennymi płytami zielonkawego łupku. Pośrodku izdebki umocowany jest drąg: żelazne jego zakończenia wchodzą w otwór w centralnej belce sufitu oraz w otwór w podłodze. Do drąga na wysokości kolan przymocowana jest metrowej długości pozioma żerdź z żelaznym kabłąkiem na końcu. Wiele lat temu matka małego Williama stawiała go przy owej żerdzi, odpinała kabłąk, zakładała go pod pachy dziecku i teraz mógł uczyć się chodzić, częściowo w powietrzu przebierając małymi nóżynami, w kółko, tylko w kółko. Drąg stoi teraz jakby na podwyższeniu — wieki chodzenia starły nawet kamień. Ślad w pamięci ludzi jest widać trwalszy, skoro do dziś z uczuciem i wdzięcznością przechowują pamięć o biegającym tu przed 400 laty dziecku.

Na zakończenie kilka poloniców: w księgarniach w Cambridge ukazało się w miękkiej, kieszonkowej edycji „Shakespeare our centemporary" — tłumaczenie książki prof. Kotta „Szekspir współczesny" oraz „Dzieła wszystkie" Shakespeare'a drukowane w Łodzi.

JAN HUSZCZA

Kwiecień

Zima to czekanie. Znudzone, cierpliwe czekanie. A lato? Dni za długie, za bardzo znojne i mozolne, żeby je lubić. Lato służyło raczej dzieciństwu. Zostało w pamięci jakieś jedno lato, które wypadło z rachunku i kolejności, pachnie kwasem na skórkach chlebowych z dodatkiem drożdży, rozrzedzającym się pod wieczór upałem, który najwcześniej zanika w sadzie i pod krzewami. Lato to również kroplisty i wesoły, prostopadły deszcz, krótki, przez cały czas w obecności słońca.

Zima przypomina otręby i plewy, zaparzane dla wieprzków, zaduch idący od ziemniaków zza przegródki w izbie kuchennej, które co jakiś czas trzeba przebierać, aby pousuwać nadgniłe.

Tekla lubiła przede wszystkim kwiecień. Tekla w kwietniu, jako dziewczyna z chutoru Wilcze Doły nabierała przekonania, iż czeka na nią życie dziwne, inne niż jej rówieśnic i w ogóle znajomych dziewcząt z najbliższych wsi. Miała to zapewne po ojcu, który częściej niż gospodarstwem zajmował się malowaniem obrazów, choć nigdy nie dowiedziała się czy przeżył jakiś swój kwiecień, który potem stał się męcząco-słodkim wspomnieniem.

Boże, ileż to razy Tekla za przyczyną kwietnia sprzeniewierzyła się Pawłowi, takiemu dobremu człowiekowi, jakim był i jest teraz, gdy oto Tekla choruje, prawie nie mogąc wstać, choćby na krótko, z łóżka!

Dlatego tyle godzin spędza na przypominaniu.

W kwietniu częściej na chutor zaglądają ludzie, bo to jeszcze mają dużo wolnego czasu, a jest o czym porozmawiać: nadciągająca wiosna, przygotowanie do orki i siewu, czekanie na zielone objawienie ozimin. Zapach gościa ożywia powietrze izby, pachnące pokostem i olejnymi farbami, pozostaje przez jakiś czas jako woń machorki, dobywanej szczyptami z kapciuchów, kożucha, jako ślad po śniegu na malowanej podłodze, choć buty niby to dokładnie otrzepuje się przed progiem.

Rozmarzenie ziemi, wyzwalającej się ze śniegu, czernią powoli wchodzącej w krajobraz, świeżość i lekkość, którą niekiedy odczuwało się już w marcu, gdy zaczynały pękać czarne szyszeczki olchy wysypującej na śnieg drobne krostki owoców albo kiedy żółtobure kotki leszczyn jak gdyby rozjaśniają sine powietrze.

W kwietniu tu i ówdzie ziemia nabiera polerowanej twardości, w powietrzu wyczuwa się wonie, które właściwie są przyszłych woni nieśmiałą zapowiedzią. W południe — chlast, chlast — kapie z gontów domu i ze strzech woda, złote światełka migocą w soplach lodu.

Co krok to zapowiedź czegoś, zapowiedź i obietnica, która zostanie dotrzymana.

Gdy na staw pod olchami, w lecie wstępujący w najniższe brzegi, kwaśny od upału, zlatywały obok komyszy dzikie kaczki, Tekli nieraz wydawało się, że to te same, co w zeszłym i pozaprzeszłym roku. Jeśli je płoszyła, to tylko po to, by usłyszeć furkot w powietrzu, a raczej widzieć ich zrywanie się, nieco zdziwione, patrzeć na rozchodzące się koła na wodzie, które powoli zanikały, pochłaniając na zawsze zdarzenie.

Osiemnastoletnia Tekla pierwsza wyskoczyła przed próg domu...

Ptaki, duże i małe, tutejsze i powracające, zachowywały się tak jak gdyby drzewa i krzewy okryły się liśćmi, choć przecież było to jeszcze przed Wielkanocą, tuż przed Palmową Niedzielą, do której przygotowywały się witki wikliny, czerwone łozy, jakby wyjęte z odwaru cebulowych łupin na kraszanki. W południe resztki śniegu błyszczały oślepiająco choć nie była to biel, ale raczej siność, kolorem przypominająca nadsmoktaną kostkę cukru. Biel tym razem pojawi się nad ziemią, będzie to najpierw biel czeremchy, potem drzewek wiśniowych, jabłoni i grusz — biel rozmarzenia, którą przyjemnie co jakiś czas zatrzymywać pod powiekami, gdyż wtedy aż kręci się w głowie.

Więc gościniec nie służył ani kołom, ani płozom. Od przerwy w płocie, gdzie było miejsce na bramę wjazdową, na której postawienie ojciec nigdy nie miał czasu, ścieżką wiodącą między ogródkiem a sadem ku domowi szli dwaj mężczyźni w wojskowych płaszczach, przeprowadzani szczekaniem. Tekla, speszona i zaciekawiona, zatrzymała się w odległości paru kroków od domu. Dobrze, iż po chwili na ścieżce znalazł się ojciec.

— Dzień dobry, panie gospodarzu! — powiedział niższy wzrostem, starszy wiekiem, i zasalutował. To samo, ale w milczeniu, uczynił wyższy, młody. Na wąskich paskach naramienników i na otoku okrągłej czapki Tekla zauważyła dwie gwiazdki, ten czarny i młodszy był więc porucznikiem. Poruczników i kapitana, służących w Korpusie Ochrony Pogranicza, Tekla widywała w miasteczku, zwłaszcza, gdy przed paroma laty była uczennicą gimnazjum. Ten niższy, choć od samego początku mniej Teklę interesujący, okazał się majorem, miał dwa srebrne pasemka i jedną gwiazdkę.

Tekla nieco się zbliżyła do stojących na ścieżce, ale nie za bardzo. Patrzyła na porucznika, który zdjął na chwilę czapkę, jakby to był upał, i ręką przygładził włosy. Uśmiechał się ku Tekli, można było pomyśleć, że po to zdjął czapkę, by pochwalić się czarną czupryną, w której znalazło się trochę słonecznego odblasku.

Okazało się, że utknęli na gościńcu; złamało się tylne koło u bryczki, chutor, drzemiący pod lasem, wydał się im najbliższym osiedlem ludzkim, więc przyszli szukać pomocy. Koni i bryczki pilnuje kapral. Ojciec z godnością, ale skwapliwie bierze udział w ich sytuacji. Kowal, który w razie potrzeby bywa i stelmachem, mieszka we wsi, do której gościńcem jest mało więcej niż kilometr drogi.

Zaczęto się naradzać. Ankuda wykazuje najwięcej rzeczowej orientacji. Trzeba zdjąć złamane koło, pod oś podwiązać kawał grubej i niełamliwej leszczyny lub olchy i konie dociągną bryczkę bez trudu przed kuźnię. Ankuda prowadzi panów wojskowych do drewutni, znajduje odpowiednią gałąź, tam zawsze leżało dużo świeżych i suchych gałęzi, obcina ją siekierką, bierze powróz i już gotów iść na gościniec. Major chce, żeby to uczynił trzaskający obcasami butów, ochlapanych przez błoto aż po krańce cholewek, porucznik. Nie, panowie są zdrożeni; Ankuda sam to załatwi, panowie niech odpoczną...

— Tekla, chodź tu, zaprowadź panów do domu... Nastaw samowar!

Dopiero teraz Tekla zapoznaje się z panami, patrzy z ukosa, ale widzi wesołe iskierki w ciemnych oczach porucznika.

— Niech pan, panie gospodarzu, gdy już zreperujecie to koło, każe kapralowi, żeby zajechał tu po nas, dobrze?! — to mówi major.

— Ma się rozumieć... — to mówi ojciec. — Za godzinę będziemy z powrotem. Panowie przemarzli... Tekla, prowadź panów...

Jeszcze przedtem Tekla wpadła w popłoch: jak tam z porządkiem w tej drugiej, na lewo z sieni, izbie? Przecież nigdy takich gości nie spodziewali się!

Na szczęście, nie jest najgorzej. Pościele matki i ojca znajdują się za drewnianym przepierzeniem, przylegającym do pieca. Pośrodku malowanej podłogi stoi duży stół, przykryty dymką, przy ścianie na prawo od drzwi wisi półka z nielicznymi książkami, przez okna naprzeciwko drzwi widać między jabłonkami ojca, jak potykając się na śliskiej drodze, zdąża ku gościńcowi. Tekla cieszy się, że tymczasem uwagę panów zwróciły wiszące na ścianach obrazy ojca, oprawione w listwy, więc w tym czasie zmachuje z krzeseł kurz ściereczką. Krzesła podsuwa do stołu, pomaga jej w tym porucznik.

Płaszcze gości wiszą na haku wbitym w ścianę, pachną wilgocią i czymś innym, niż płaszcze cywilów, czymś żołnierskim, bo inaczej tego nie umie nazwać. Bez płaszczy panowie wyglądają elegancko, nawet łysemu majorowi dobrze jest w obcisłym mundurze.

Rozejrzawszy się po izbie, panowie nabrali jakby szacunku dla mieszkańców domu, zatroszczyli się, cokolwiek za późno, o mokre ślady, ciemniejące na jasnej podłodze. Tekla ziekceważyła je kilkoma uspokajającymi słowami i wreszcie przeszła do drugiej, kuchennej izby, gdzie znajdowała się matka i starszy brat, młodszy bowiem, piętnastoletni, uczył się w miasteczku.

— Cześ, wyjdź do gości, a my nastawimy samowar.

Cześ coś niechętnie odburknął; wcale się do gości nie kwapił. Za to matka zaczęła frasobliwie się krzątać, gdy Tekla nalewała wody i sypała węgle do trąby samowaru, a potem rozżarzała je cholewą starego buta; matka ustawiała na stole chleb, znosiła szklanki i talerze, przygotowywała obrus, krajała plasterki wędliny, uważając, żeby były przezwoicie cienkie.

Zakłopotana gościnność Tekli wzrastała z chwili na chwilę. Przypomina sobie, że Cześ prawdopodobnie przechowuje butelkę wódki; domaga się, by ją odkorkował i zaniósł na gościnny stół.

— Nie dla przybłędów trzymam wódkę! — oświadcza Czesław. — Przyjechali i odjadą...

Jeszcze czego! Tekla zdobywa się na podstęp:

— Tata nakazał!

Skoro tata kazał, to co innego. Czesław wie, że z ojcem zadzierać niebezpiecznie.

Nim para zacznie wydobywać się spod miedzianej pokrywki samowara, a od niej stojący na nim fajansowy imbryk zwilgotnieje, kobiety przenoszą naczynia z przekąską do tamtej izby. Porucznik, nazywany przez majora panem Stasiem, chce wziąć aktywny udział w przygotowaniach, czeka na Teklę przy drzwiach, zabiera z jej rąk talerzyki i sam je ustawia na stole, za każdym razem wyraża chęć pójścia do kuchni, ale Tekla za nic do tego nie dopuści, wstydzi się kuchni, krępuje się przed porucznikiem.

Gdy kasztanowate kłusaki o spaśnych kłębach, ale jednak zmęczone, bowiem wcześniej w drodze zapadały się w kałużach i wybojach, przebyły parę brodów, gdyż woda pozrywała drewniane mostki — przytarabaniły na dziedziniec żółtą bryczkę z kapralem i Ankudą, słońce coraz bardziej znikało za obłoczkami, które zaczynały tężeć i nieruchomieć.

Ankuda wszedł do izby z kapralem; jednak okazało się, że popełnił niewłaściwość, wprowadzając podoficera. Wypadało go nakarmić w kuchni. Przedtem jeszcze major kazał kapralowi, by spod werka z obrokiem, znajdującego się pod wysokim siedzeniem bryczki, która z przodu miała kozioł również otoczony metalowym prętem, przyniósł pojemną manierkę z jakąś mocną wódką, rewanż za dotychczasowy poczęstunek.

Wojskowi byli w dobrych humorach, major, dzięki zapewne obrazom, nie zwracał się do Ankudy zwrotem „panie gospodarzu", ale po prostu używał słowa „pan", co było awansem towarzyskim. Zresztą, właściwie dopiero teraz goście przedstawili się, stuknęli obcasami, niezbyt wyraźnie wymieniając nazwiska.

Pod pułapem drżały podłużne, czasem elipsowate, zwiewne pasma papierosowego, pachnącego dymu, pąsowiejące od światła z okien.

Ankuda pijał rzadko, ale poczuwał się do obowiązku uczestniczenia w fecie, goście byli wyjątkowi, jak na tę dość odludną okolicę, więc z satysfakcją co jakiś czas sięgał palcami do pożółkłych wąsów, muskał ich koniuszki, dłonią rozgładzał szpakowatą bródkę, zwartą, przypominającą bródki z ikon. Gdy major zaczął chwalić obrazy i zainteresowania gospodarza, Ankuda promieniał sprowadził nawet matkę i Czesia, by ich wreszcie gościom przedstawić. Cześ jednak, który w sąsiednich wsiach uchodził za dziarskiego kawalera, źle się czuł w samodziałowym franczu, konfrontując siebie z eleganckim porucznikiem. Był mrukliwy, prawie obrażony w imieniu własnym i swoich nieobecnych tutaj kolegów i przyjaciół.

Ankuda miał talent samouka, a może tylko dręczyło go stokroć gorsze pragnienie talentu, tym gorsze, iż właściwie nic nie wiedział o rzemiośle malarskim. Owszem, rysował wcale nieźle, znajomi z łatwością odnajdywali w jego rysunkach rysy własnych twarzy, ale on rysunkiem niemal pogardzał. Wtedy tylko czuł się artystą, gdy jakiś obraz olejny zawędrował na ścianę któregoś z kościołów. Rzadko to się jednak zdarzało.

Tej zimy przeżył kolejną porażkę. Proboszcz z własnej parafii odmówił przyjęcia biczującego się św. Antoniego. Z tego powodu Ankuda opuścił aż pięć kolejnych mszy niedzielnych, demonstrując niechęć do proboszcza.

Oczywiście, Ankuda pokazał ten obraz majorowi, o czym dobrze pamięta Tekla.

— Gdybym był księdzem, z podziękowaniem wziąłbym go do ołtarza! — Nie wiadomo, czy pan major, mężczyzna o siwych skroniach, powiedział to przez grzeczność, czy też, co wcale nie byłoby dziwne, nie znał się na malarstwie.

Odtąd jednak Ankuda, gdy ktoś odwiedzał chutor, kazał gościowi oglądać biczującego się św. Antoniego, na którego twarzy czarne krople farby oznaczały łzy bólu, i powoływał się na majora.

Nie dbał Ankuda o kształcenie dzieci. Gdy mu z tego czyniono zarzut, mawiał: „Ot, pan Korsak ma uniwersyteckie wykształcenie, a co z niego: pijak, karciarz, zadaje się z chłopami!".

Sam Ankuda właściwie zadawał się wyłącznie z chłopami, ale uważał to za ujmę dla właściciela mająteczku, Korsaka, który rzeczywiście prowadził się nienadzwyczajnie, ale za to był lubiany.

Tymczasem czarniawy porucznik, pan Staś, całą uwagę poświęcał Tekli. Wciąż protestował, gdy Tekla sama wychodziła do kuchni, a ta nie zawsze wychodziła z uzasadnionego powodu. Czuła, że jej policzki płoną, więc korzystała z okazji, zatrzymywała się w ciemnej słońce przed samym progiem, w otwartych drzwiach, by kwietniowy chłodek nieco uśmierzył jej podniecenie, jakieś wyjątkowe zainteresowanie czy odurzenie porucznikiem, miłymi słowami, przychylnością. Była jakby zdumiona i zaskoczona tym, iż całkowicie oddała się urokowi chwili. W pewnym momencie wyszedł za nią i porucznik. W słońce usiłował ją objąć, z trudem, nie dlatego by mocno uchwycił Teklę za ramiona, ale że nie czuła w sobie żadnej siły, wyrwała się, choć pan Staś zdążył ucałować jej włosy, rozdzielone przedziałkiem pośrodku głowy, ucałował je i ręką nieco wzburzył. Siląc się na oburzenie, powiedziała:

— Tak nie można, niech pan wraca...

— Panno Teklu, raz się tylko żyje...

— Nieprawda! — zawołała Tekla, przypominając narzeczonego, cichego Pawła z innego chutoru. Dzięki temu w porę znalazła się w kuchni, a następnie, aby ochłonąć, poszła do obórki, zajęła się ze szczególną troskliwością cielątkiem, które pojono mlekiem, gdyż jego matka zdechła.

Woń obornika, pobekiwanie, kałuże z krwistymi odblaskami słońca, murszejące spłachcie śniegu przywróciły jej panowanie nad sobą.

Na obrusie pojawiały się plamy od przelanej z naczyń wódki i herbaty, pan Staś na widok Tekli zaczął śpiewać:

Oczy czarne, rozwarte i ogromne,
oczy czarne, z rozkoszy nieprzytomne...

Zaglądał bezczelnie w oczy, aż Tekla, broniąc się, sprostowała:

— Pan śpiewa tylko o sobie, ja mam przecież oczy piwne!

Porucznik roześmiał się, natychmiast dokonując poprawki:

Oczy piwne, rozwarte i ogromne,
oczy Tekli, z rozkoszy nieprzytomne...

Majorowi wydało się, że to raczej porucznik ma oczy coraz mniej przytomne, zaniepokoił się:

— Komu w drogę, temu czas!

Istotnie, nie warto było przedłużać pobytu, lepiej po roztopach dojechać przy dziennym świetle, które pomimo czerwieni słonecznej stawało się mierzchnące. Major był dowódcą batalionu, stacjonującego w powiatowym miasteczku, jeździli po strażnicach z inspekcją.

Ku wielkiemu żalowi Tekli, goście zaczęli ubierać się, pasami, na które były nasunięte kabury z bronią, ściągać płaszcze. Zapewne i ku żalowi porucznika Stasia, którego wódka na dobre rozkrochmaliła, a Tekla była przekonana, że to wyłącznie z jej powodu. Porucznik, gdyby nie subordynacja, najchętniej zostałby na całą noc w Wilczych Dołach, ale nawet i w tym stanie nie śmiał wystąpić z propozycją przed majorem.

Więc został stół z naczyniami, nie dopita wódka w graniastych kieliszkach, dym papierosowy, zapach żołnierskich płaszczy i rzemieni, Tekla nie poszła po watówkę, postanowiła nie wychodzić z izby.

Gdy została sama, zauważyła zapomnianą przez porucznika zapalniczkę. Ciężką, oksydowaną. Z boku, na brązowym krążku, wlutowanym w blachę, widniały inicjały: S. P.... S., to Stanisław, a P. to pierwsza litera nazwiska, którego nie dosłyszała. I tylko tyle? — z żalem pomyślała Tekla, gdyż mimo wszystko nie wierzyła w solenne obietnice porucznika, iż jeszcze tutaj zawita.

Chciała wybiec z zapalniczką na dwór, odnieść ją właścicielowi. Ale po namyśle, a raczej bez namysłu, pod wpływem pragnienia, by coś z tego dnia zostało, a może w nadziei, iż porucznik przypomni zapalniczkę i po nią wróci, zatrzymując się jeszcze na chwilę, któż to już dziś pamięta, stała nieruchomo w pobliżu stołu, czekając na skrzypnięcie drzwi, potem, gdy czas upływał, podeszła ku oknu. Przez jabłonie, w zabarwionym zorzami powietrzu pojawiały się to plecy odjeżdżających, to kłęby kłusaków.

Drugiego dnia Wielkanocy Wilcze Doły ożywiły się niemal od rana. Było sucho, trochę silniejszy przymrozek nie ustępował prawie do południa, znowu bardziej pachniało lodem niż ziemią.

Przed oknem zjawili się „allelujnicy", chłopcy z kobiałką na jajka. Po odśpiewaniu po białorusku wielkanocnej pieśni, weszli do kuchni z pozdrowieniem:

— Chrystos waskros!

— Prawdziwie zmartwychwstał! — odpowiedzieli jednogłośnie matka, ojciec, Cześ i najmłodszy brat, Zygmuś. Allelujarzy należało obdarować kraszankami, kawałkiem babki i mazurka.

Następni allelujarze otrzymali już tylko po kraszance, gdyż było wiadomo, że będą przychodzić pod okna aż do wieczora.

Przed południem zjawili się koledzy i koleżanki ze wsi, w której zreperowano koło od żółtej bryczki. Ci, którzy byli katolikami, aczkolwiek w towarzystwie nie zabrakło i paru prawosławnych.

Jeden z chłopaków grał na harmoszce, drugi na skrzypcach. Oczywiście, i oni tradycyjnie zaczęli od postoju przed oknem. Ten z harmoszką śpiewał, reszta wykrzykiwała antyfonicznie tylko refren: „Chrystos, Syn Boży, Chrystos!"

Był to pretekst. Chcieli poczęstunku z wódką, otrzymali go, a następnie wspólnie z młodzieżą Wilczych Dołów, pod coraz zadziorniejsze dźwięki harmonii, poszli obok stawu przez karczowiska do lasu.

I tam właśnie, jak się wydaje, Tekla zgubiła zapalniczkę z monogramem „SP"...

Schowała ją w kieszonce szarej świątecznej sukienki, którą najchętniej nosiła z lśniącym paskiem z czarnej polakierowanej ceraty. Z czasu tamtej wizyty nie widziała się z wiem, co nie było takie trudne, gdyż ze względu na post, nigdzie nie zbierano się na czorynki. Dopiero dziś ujrzała Pawła i poczuła się jakaś winna wobec niego, przeniewierzona. Ale i teraz, gdy szli gromadką na przełaj, sięgnęła przekornie ręką pod kurtkę, by się upewnić w obecności zapalniczki.

Było wesoło, popychano się i potrącano, po raz ktoś zaczynał piosenkę polską lub białoruską. Tekla była jakby trochę nieobecna, podnosiła oczy ku ruchliwemu tego dnia kitowi, nawet podczas śpiewu słyszała krzyk zrywy wiatru, który tyrpał cieńszymi gałęzi mi, najbardziej kruche nawet strącając. Przymrozek, który jeszcze nie ustąpił, wzmagał czucie świeżości i przestrzeni, napełnionej drzewami i krzewami, między którymi cieni łyskały oczy wody.

Zaczęto przeskakiwać przez rów, napełniony wodą nieco ruchliwszą, od dna ciemną od butwiejącym w niej liściom i szyszkom. Ci, którzy po kilka razy w tę i z powrotem je przeskakiwali przez wodę, aby mieć okazję do chwytania dziewczyn, uzasadnioną koniecznością pomocy.

Paweł, jak zwykle, był zrównoważony, mniej nieśmiały niż wtedy, gdy bywają sam na sam, zgodnie ze swoim sposobem bycia nie brał udziału w baraszkowaniu, aczkolwiek nie dałoby się powiedzieć, iż nie uczestniczył w wspólnej radości.

Tekla z innymi chętnie przeskakiwała, raz upadła i omal jedną nogą nie wślizgnęła się do wody. Dopiero wieczorem stwierdziła brak zapalniczki. Tak się poczuła, jak gdyby spotkała ją dotkliwa utrata jakiegoś amuletu. Pamiętała przecież dobrze, że leżała w kieszonce sukienki, dotykała jej palcami.

Nazajutrz pobiegła, usiłując dokładnie przebyć ową drogę. Najbardziej podejrzewała rowu w rowie o pochłonięcie kwietniowej zdobyczy miątki.

Woda była brunatna i złośliwa, dość głęboka. Szperała w niej gałęzią, ale na próżno. Stanęła prawie zrozpaczona nad rowem, wpatrując się w odbicie własnej twarzy, powolne i delikatne, a jednocześnie w dziwny sposób odległe i niezrozumiałe, była zadowolona ze swoich rysów, dość regularnych, z szerokimi brwi, zbiegających się prawie nad osią noskiem.

Potem znowu rozbełtywała gałęzią odbicie i wodę, wodę i odbicie. W maju, gdy zrobiło się cieplej, rozebrała się prawie do naga, zostawiając na sobie stanik, obciskający wyraźne piersi, majtki bez wszytej gumki trzymające się obszernych bioder, naprzemiennie nogami i rękami wymacywała muliste dno rowu, ale na próżno.

Ze zniecierpliwienia omal się nie rozbeczała. Nie odnalazła zapalniczki, nigdy w życiu. Ujrzała porucznika Stanisława P... W pamięci przechowała się szczególna świeżość kwietniowych nieuchwytne pragnienia, nawet zapach wojskowych płaszczy, nasyconych wilgocią, który w latach wojny zupełnie spowszedniał, a raz bywał przykry i nienawistny.

Wrzesień 1939 roku, który dramatycznie zgiełkiem nie dotarł bezpośrednio do tych ulic, na zawsze skojarzył się jej nie ze śmiercią, boleśnie przeżytą, brata Czesława, gdzieś w zachodniej Polsce, ale z wyobrażeniem kiejś samotnej i heroicznej śmierci porucznika Stanisława P...

Po wojnie, kiedy z mężem Pawłem i dziećmi znaleźli się w gajówce, murowanej, w pobliżu jeziora o grynszpanowej wodzie, koło miejscowości Ruciane, znowu nabrała przekonania, iż spotka porucznika, była starsza, wiedziała, że wcale nie musiał zginąć. Przez dwa kolejne kwietnie myślała o nim ze szczególną intensywnością, bojąc się takiego spotkania i nocześnie o nim marząc.

Nic takiego się nie zdarzyło, w Tekli tłukło się gorzkie przekonanie o tym, iż jest wierna Pawłowi.

Tu kwietnie wyglądały nieco inaczej, na ogół cieplejsze, ale i bardziej kapryśne, czasem po upalnych dniach niemal nagle zamieniało się krótkotrwała zamieć śnieżna, zawiewając potem na drzewach i dachach rosę. Tu zresztą były inne lasy, olbrzymia puszcza, przebiegały przez nią sarny, tu pora zajmowały dużo przestrzeni, żałośnie kwilili nad nimi czajki, ale w krajobrazie nie było się sennego rozmarzenia, ziemia bielała i piaszczysta była jakaś obojętna, w rowie jednak spotykało się podobną nieruchomą wodę, brązową od gnijących na dnie liści i szek. Poczucie kwietniowej świeżości zdawało się prawie takie same, ale bez smutno-wzruszeń, nieokreślonych bliżej pragnień, raz tylko odnalazła na chwilę w wodzie odbicie swojej twarzy, więcej tego nie próbując. A i dziś tu się wkrótce przestało tęsknić, gdyż tem stawali się natrętni i hałaśliwi, zjeżdżali się nad jezioro z różnych miast, śmiecili, czego nie szanując, nie uznając milczenia.

Od kilku miesięcy Tekla wie, że umrze, choć moc nie ustępuje, choć na co dzień nie jest dokuczliwa. Przywieziony pewnego razu z miasteczka lekarz długo na osobności rozmawiał z Pawłem, a potem Paweł, zapytany o przebieg tej rozmowy, wyraźnie gubił się w odpowiedziach. Jak większość ludzi, związanych na co dzień z umieraniem zwierząt i przemijaniem we florze, Tekla nie ma bojaźliwego stosunku do śmierci, czuje się do niej przygotowana. Jakże jednak żałuje, że to dopiero luty, nie dociągnie do kwietnia?

Dzieci wyszły na ludzi, przeniosły się do miasteczka, sami żyją znośnie. Boże, po co umrzeć w kwietniu, tak odległym miesiącu od obietnic, gdy lazurem, farbką używaną przy praniu bielizny, nasiąka śnieg. Siwa Tekla, dawna bowiem już wie, że to nie bluźnierstwo, ale przechowywane w sercu wspomnienie radości. Tam, na chutorze, należącym onegdaj nieżyjącego Ankudy, byłoby mniej bolesne umrzeć nawet w jakimś innym miesiącu.

Károly Gi

STANISŁAW CZERNIK

Niewiara

Nagabywanie —
Ileż w nim nagany —
Od lat, na jawie i we śnie,
Że nie wierzę,
Nie cenię,
Nie chcę.

Unikam i odpycham:
Nie i nie.
Chociaż gryzie, dowodzi,
Przekonywa —
Obozami, pogromami, wojnami —
Że to mój brat,
Brat — zwierz,
Drapieżnik z ludzkimi kłami.

Nie.
Nie uwierzę w takiego człowieka,
Nawet gdy zginę pod jego zębami.

Lampa zapalona za wcześnie

Lampa zapalona za wcześnie
Nie wzmocni zachodzącego słońca,
Nie przedłuży dnia,
Niepotrzebna gromnica przy zgonie
Wielkiego światła.

Przy zgonie?
A to tylko ciemny sen człowieka
O śmierci.
Sen, który nie chce umrzeć —
Mimo lamp zapalonych za wcześnie,
Mimo gromnic.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

* * *

Otwarła się w końcu ta brama
Bo musiała się otworzyć tylko kiedy
Wszystkie sprawy są zamknięte
Rachunki z czasu władzą wyjaśnione.

Za żelaznym ogrodzeniem czeka anioł sosny
Jedno skrzydło ma w słońcu
Drugie w czarnym rękawie
Kochankowie w grobach szepcą: idzie Achmatowa.

5 marzec

KRYSTYNA NONAS

„METEOR" w ŁODZI

Zupełnie niepostrzeżenie weszliśmy w okres jednego z bardzo ważnych dla naszego miasta jubileuszy — czterdziestolecia narodzin ruchu literackiego w Łodzi. Było to zasługą pierwszej w jej dziejach grupy literackiej „Meteor".

W roku 1926 kilku młodych uczniów ówczesnego Gimnazjum Miejskiego zaczęło wydawać w szkole pisemko „Almanach literacko-artystyczny", które ukazywało się w jednym egzemplarzu ręcznie kaligrafowanym. Tę działalność literacką postanowiono kontynuować nadal w bardziej zorganizowanej formie. Tak zapadła decyzja o założeniu grupy, dla której po burzliwej dyskusji przyjęto nazwę „Meteor". Jej współtwórcami byli Marian Piechal, Grzegorz Timofiejew i Kazimierz Sowiński. Dwaj pierwsi poeci ukończyli gimnazjum i rozpoczęli studia na Uniwersytecie Warszawskim. Tam też, w auli głównej, nowo powstała grupa zorganizowała swój pierwszy wieczór literacki. W kilka miesięcy później meteoryci wystąpili w swym rodzinnym mieście. Za cel postawili sobie związanie działalności z potrzebami kulturalnymi i charakterem społecznym Łodzi. Dzięki tym założeniom zaczęła się wytwarzać jakaś tradycja literacka w naszym mieście. Oczywiście poeci „Meteora" nie negowali przy tym dotychczasowych jednostkowych wystąpień pisarzy zamieszkałych czasowo w Łodzi lub z niej się wywodzących, takich jak Reymont czy Tuwim. Chcieli być kontynuatorami tej twórczości, która nie prezentowała się zresztą zbyt obficie.

„Meteor" zaczął swą działalność w okresie bardzo charakterystycznym dla naszej literatury, gdy grupy poetyckie powstają jedna za drugą. Swą działalność młodzi poeci zaczęli od polemiki z uznaną już wówczas grupą „Skamander". Wynikało to przede wszystkim z normalnej opozycji młodego pokolenia w stosunku do poprzedników, tkwiących na ugruntowanych pozycjach i mających ustaloną sławę. Swe poglądy członkowie „Meteora" wygłaszali najpierw na łamach miesięcznika grupy, którego zresztą ukazały się zaledwie trzy numery, a później w latach 1928—1930 w dodatkach literackich łódzkich pism „Głosu Polskiego" i „Głosu Porannego". Oprócz tego młodzi poeci popularyzowali swe utwory na wspomnianych już wieczorach literackich.

Pierwsze swe tomiki młodzi poeci poświęcają rodzinnemu miastu, Piechal „Krzyk z miasta", Sowiński „Gwiazdy na strychu". Zorganizowana działalność w ramach grupy skończyła się dość szybko, w roku 1930 nastąpił rozłam. Meteoryci są jednak nadal bardzo aktywni. W rok po upadku grupy organizują Łódzki Klub Literacki i zaczynają wydawać miesięcznik „Prądy", pod redakcją Timofiejewa. Było to krótkotrwałe przedsięwzięcie. Za zbyt lewicowy charakter „Prądy" zostały zlikwidowane, po wyjściu zaledwie czterech numerów. Następną próbę podjął Kazimierz Sowiński w 1936 roku. Była to „Budowa". Jej losy potoczyły się niemal identycznie jak „Prądów". Czwarty numer został na polecenie władz zdjęty z maszyn drukarskich. Pismo miało opinię „czerwonego", choć właściwie, jak to trafnie zresztą określił jeden z ówczesnych krytyków było zaledwie „różowe". Po Timofiejewie i Sowińskim kolejną próbę podjął Piechal w 1938 r., lecz osiągnął jeszcze mniej, zdołał bowiem wydać tylko dwa numery „Odnowy".

W roku 1938 zaczęły się ukazywać także „Wymiary". Było to jedyne regularnie ukazujące się pismo literackie Łodzi dwudziestolecia międzywojennego, wychodzące aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Współredaktorem „Wymiarów" był Grzegorz Timofiejew.

Tak więc przedstawiała się działalność „Meteora" w naszym mieście. Pozostaje jeszcze kwestia spojrzenia na program „Meteora" i jego znaczenie na arenie ogólnopolskiej. Hasłem grupy był konstruktywny metaforyzm, czyli założenie artystyczne traktowane jako warunek konieczny społecznej treści utworu. Metafora była tematem dnia i nie meteoryci ją wymyślili. W Polsce świadomą pracę nad metaforą wprowadziła do poetyki „Zwrotnica". Jednym z jej założeń był konstruktywizm. Poeci „Meteora" połączyli te dwa elementy, tworząc konstruktywny metaforyzm. Oceniając wystąpienie grupy jeden z recenzentów warszawskich stwierdził, że poeci wyznający tak głupią teorię piszą na szczęście dobre wiersze. I to jest chyba najważniejsze, że z „Meteora" wyszli po okrzepnięciu dojrzali poeci, tacy jak najbliżsi łodzianom — znakomity liryk Marian Piechal, czy zmarły przed kilku laty Grzegorz Timofiejew.

Istotną wartością grupy jest dbałość o formę przy zachowaniu postawy społecznej. Pod tym kątem biorąc konstruktywny metaforyzm jest świadectwem dojrzałości artystycznej, którą poeci pogłębiali w trakcie swej dalszej działalności. „Meteor" był wstępnym, młodzieńczym etapem ich działalności. Etapem, który w ich biografiach pozostaje raczej w cieniu. Sam „Meteor" zresztą mimo wielu wysiłków, z próbą poruszenia zagranicy włącznie, nie zyskał wielkiej sławy i popularności i nie zapisał się w rzędzie najwybitniejszych zjawisk naszej literatury. Jest raczej drobnym epizodem, nie wart jednak jako ciekawa próba zupełnego zapomnienia.

PRZYGOTOWANIA ŚWIĄTECZNE

Zdjęcia archiwalne dostarczył Wł. Baranowski

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

PSYCHOLOGIA i POLITYKA na WEEKENDZIE

Ostatnia książka Wandy Karczewskiej, „Weekend w Riverside" [1]), różni się w sposób zasadniczy od jej poprzednich powieści: „Odejścia" czy „Wizerunku otwartego". Inna tematyka, inny krąg zagadnień, inne problemy — wszystko to musiało narzucić autorce różne od poprzednich podejście do materiału, różnicę przede wszystkim konwencji pisarskiej i techniki pisania. Jeśli „Wizerunek otwarty" był niewątpliwie dużym sukcesem autorki, to zastanowić się należy, czy książka tak różna jak „Weekend w Riverside" będzie mogła dorównać swojej poprzedniczce.

Wszelkie eksperymenty warsztatowe Karczewskiej wydają się wyrastać z braku zaufania autorki do narracji epicznej. W przypadku „Weekendu" ów brak zaufania obejmuje także i samego narratora.

Zasadniczo narratorem „Weekendu" jest (czy powinna być) bohaterka tej powieści — Elżbieta, którą autorka spotkała dość przypadkowo na statku płynącym do Ameryki. Autorka jednak odbiera jej możliwość eksponowania własnego „ja" w narracji. Karczewska stosuje zasadę „relacji o relacji" przyznając się zresztą do własnej świadomej interpolacji we wspomnienia bohaterki. O fakcie tym dowiadujemy się in extenso dopiero w zakończeniu powieści, kiedy to interpretacja faktów przedstawionych jawi się odbiorcy w pozycji co najmniej dwuznacznej. Ingerencja autora-narratora w narrację bohatera znajduje tutaj dopiero swoje uzasadnienie: chodzi o uzasadnienie owej dwuznaczności, chodzi o zakwestionowanie prawdziwości świata przedstawionego przez bohaterkę. „Oczywiście relacja Elżbiety — pisze narrator-autor — była bardziej skąpa niż mój przekaz o niej (...) Może tam nawet zakradło się coś z mojego sceptycyzmu co do autentyczności jej przeżyć, choć wątpię, starałam się eliminować siebie, o ile jest to całkiem możliwe, nie zawsze mi się to udawało, zwłaszcza tam, gdzie Elżbieta próbowała przeskoczyć własny wymiar". (ss. 215—216).

Dopiero w części finalnej powieści (a taka jest tu specjalnie wyodrębniona) fakty przedstawione poprzednio uzyskują swój właściwy wymiar: zostają zrelatywizowane i zakwestionowane. Narrator-autor ogląda miejsca, o których mówiła bohaterka, styka się z ludźmi uczestniczącymi w wypadkach opisanych przez Elżbietę. Ludzie i miejsca świadczą przeciw bohaterce, przeciw autentyczności jej relacji. Oglądany przez autorkę konkret, który znała z opowiadania swojej bohaterki, jest inny, jest różny w stosunku do jego oświetlenia przez Elżbietę. Niekoherentność rzeczy realnych z opisem Elżbiety stawia pod znakiem zapytania interpretację faktów znaną nam z narracji bohaterki. Oto konfrontacja rzeczy oglądanych przez autorkę z relacją Elżbiety: „Ale już na wyspie na środku jeziora nie zauważyłam żadnych drzew, może były tam kiedyś, teraz sterczała kępa krzewów; powiedzmy jednak, że Elżbieta mogła je wziąć w nocy za drzewa". (s. 217). I gdzie indziej: „Ja za szkłami okularów Marii wcale nie widziałam — jak mi Elżbieta opisywała — małych, brzydkich, bezradnych, polskich oczek; te oczy były wesołe, pełne humoru ściechapek..." (s. 218).

Wanda Karczewska w karykaturze Ibis-Gratkowskiego

Ludzie i miejsca stwarzają nowy punkt widzenia na fakty przedstawione; nowy punkt widzenia podważa autentyczność tych faktów. Karczewska zresztą nie pragnie rozstrzygać o autentyczności świata przedstawionego przez Elżbietę. Dwuznaczność interpretacji tego świata przejawia się w lekkim, ledwo wyczuwalnym, odcieniu ironicznym, w jakim konstruuje autorka „relację o relacji" swojej bohaterki. Szczególnie jest to widoczne w sposobie przedstawiania „płaszczyzny psychologicznej" powieści.

Płaszczyzna ta nie jest jednak jedynym polem odniesienia „Weekendu w Riverside". Charakterystyczny jest fakt, że o książce tej można równie dobrze mówić, że jest powieścią psychologiczną, jak i powieścią polityczną — i to w najszlachetniejszym tego pojęcia rozumieniu. Być może jest tak dlatego, że te dwie płaszczyzny utworu — psychologiczna i polityczna — są ze sobą nierozerwalnie związane. Życie psychiczne bohaterów jest w całej rozciągłości uwarunkowane przez historię, wojnę, przez tzw. układ sił politycznych współczesnego świata, przez różnice ideologiczne, w jakich kształtowała się osobowość postaci przedstawionych. Te wszystkie wymienione czynniki mają zasadniczy wpływ na akcję powieści nie tylko dlatego, że wyciskają swoje piętno na życiu wewnętrznym bohaterów, na ich psychikę — ale także dlatego, że mają wpływ na ich losy stanowiąc przeszkodę dla ich osobistego szczęścia. Wypowiada to w całej rozciągłości jeden z bohaterów:

— „Rozdzielili nas, sukinsyny! — stęknął wreszcie.

— Kto?

— Kapitaliści, faszyści, abolicjoniści, semici, antysemici, andersowcy, legaliści, zamkowcy, pierwszy korpus, drugi korpus, wołyniacy, warszawiacy, akowcy, alowcy, komuniści — wyrzucił, odetchnął i dokończył: — polityka, politykierzy". (s. 190).

Historia, wojna, polityka, ideologia, różnice gospodarcze i ustrojowe — to są fakty. Na przeciwko tych faktów Karczewska stawia osobowość swoich bohaterów, ich życie wewnętrzne. Stara się pokazać jak tego rodzaju fakty wpływają na psychikę ludzi, a zarazem ukazać sprzeczność pomiędzy uwarunkowaniem historyczno-społecznym człowieka a jego dążeniem do szczęścia.

Można by pokusić się o może nieco subiektywną paralelę pomiędzy płaszczyzną ideową powieści a techniką warsztatową książki Karczewskiej, techniką, o której mówiliśmy na początku. Podstawą tej paralelli może być z jednej strony antynomiczność konkretów z ich interpretacją w narracji, a z drugiej strony antynomia pomiędzy faktami historyczno-społecznymi, faktami obiektywnymi a psychiką i dążeniami bohaterów. Pomiędzy konkretem a jego interpretacją przez narrację istnieje rozdźwięk podobny do sprzeczności, jaka ma miejsce między uwarunkowaniem społecznym i historycznym — które jest także faktem konkretnym i realnym — a życiem duchowym bohaterów. Obiektywna sprzeczność życia ludzkiego znajduje w ciekawej książce Karczewskiej swój wyraz — a może lepiej tylko podobieństwo — w skutecznej technice narracyjnej zastosowanej przez autorkę.

[1]) Wanda Karczewska: Weekend w Riverside. Warszawa 1965, „Czytelnik".

WOJCIECH NATANSON

PRĄD, KTÓRY NIE WYNOSI ALE ZNOSI

W tzw. „francuskim" numerze „Twórczości", z kwietnia 1957 r. ukazał się mój przekład wiersza Pierre Alberta Birota „Réalisme". Znalazłem ten poemat w jednym z paryskich miesięczników, olśnił mnie i zachwycił, przełożyłem go pod tym wrażeniem, redakcja „Twórczości" włączyła tłumaczenie do numeru, poświęconego francuskiej literaturze. Ale gdy chodziło o zredagowanie noty informacyjnej, którą poświęcono wszystkim autorom na końcu numeru, znaleźliśmy się w kłopocie. Nie tylko ja, ale nawet i koledzy dużo dokładniej znający współczesne francuskie życie literackie — nic prawie nie wiedzieli o Birocie.

Koledzy ustalili jednak, że autor wiersza jest „poetą starszego pokolenia, towarzyszem Apollinaire'a, że „pisze mało, nie należy do żadnej kapliczki, wiersze rozprasza po efemerycznych czasopismach"; że „nigdy nie przyszła na niego moda"; że „jest dziś zupełnie zapomniany".

Ale gdy pojechałem do Francji jesienią tego samego roku, udało mi się odszukać P. A. Birota. Żył w osamotnieniu i zapomnieniu. O reklamę nie dbał, o sławę się nie troszczył. Kilka lat później złożono mu hołd na jednym z międzynarodowych zjazdów poetyckich w Belgii, w którym wzięli udział polscy delegaci: Artur Międzyrzecki i Jerzy Lisowski (dowiedziałem się później, że dramatami Birota interesowano się u nas przed wojną). Przy innej okazji gorąco się o Birota upomniał wybitny współczesny poeta francuski średniego pokolenia, Jean Follain. Sporo szczegółów o poecie, mieszkającym samotnie przy paryskiej rue de Sant-Péres, zamieściła w swej pięknej monografii o Apollinairze nasza pisarka, Julia Hartwig, a także — w kilku swych szkicach, bardzo ciekawych — Anatol Stern.

Nakładem firmy wydawniczej „Gallimard" wznowiono fragmenty najsłynniejszego utworu P. A. Birota „Grabinoulor". Krytyk i poeta francuski, Alain Bosquet pisał przy tej okazji w „Le-Monde": „Na próżno (jak się zdaje), któryś z krytyków próbuje to tu, to tam, wybawiać P. A. Birota z zapomnienia. Za każdym razem można powiedzieć, że próba jest odważna i za każdym razem pokrywa ją obojętność". Być może, przypuszcza krytyk, najnowsza próba przywróci jednak pisarzowi należne mu miejsce. Na podstawie „Grabinoulora" i wyboru wierszy Bosquet charakteryzuje Birota jako pisarza, sceptyka, ironistę, który sobie „magistralnie drwi z całej literatury", a zarazem puszcza wodze bujnej, wspaniałej, olśniewającej wyobraźni. Krytyk umieszcza Birota raczej w sąsiedztwie Max Jacoba, André Salmona i Jean Cocteau niż Apollinaire'a, którego twórca „Grabinoulora" był jednak bliskim przyjacielem i który mu przepowiadał olśniewającą karierę.

W przeciwieństwie do „Grabinoulora" i kilku przekornych dramatów surrealistycznych, które Birot napisał, a z których jeden miał być nawet grany w krakowskim teatrzyku „Cricot" przed wojną *) — w utworze nazwanym „Poémes â un autre moi" Birot uderzał w tony zupełnie odmienne:

Powiedziałbym znakami ludzkimi,
Ja, którego się chętnie przedstawia jako
Piotra Alberta Birot,
I który ciągnę swe życie dziewiętnaście
wieków po Ukrzyżowanym
I pięć tysięcy czy może pięć i pół tysiąca
po śmierci pierwszych oczu na ziemi
W Paryżu, który żyje wraz ze mną i daje mi
natchnienie tysiąca swych ulic
i miliona swych mieszkańców,
Ja, który nie byłem sobą zanim zacząłem
istnieć i nie będę sobą gdy zniknę
Śpieszę by samego siebie wziąć i wypowiedzieć sobie
słowo w słowo wobec innego mnie
Robię wielkie okrążenie poprzez innych ludzi,
którzy odchodzą i przychodzą
(Długa podróż ciągnąca się od świata oświetlonego
do tego który oświetla)
Ty, on i wszyscy oni są w każdym z nas jak ja sam...
(TŁUM. W. NATANSON)

Po przeczytaniu tych prawie krystalicznych i zarazem tragicznych strof, rozumiemy lepiej Birotowski „Realizm", wyraz namiętnej tęsknoty za żywą, dotykalną, zmysłową rzeczywistością świata, rzeczy, ludzi, miast, zdarzeń, kamieni, owoców, wszelkich doświadczeń zmysłowych, podróży:

Prawdziwy, prawdziwy jak
papier,
Prawdziwy jak płynąca
woda,
Prawdziwy jak zielony liść,
Prawdziwy jak kwitnące
drzewo,
Prawdziwy jak otwarte
drzwi
I prawdziwy jak dojrzały
owoc,
Prawdziwy jak gruchotany
orzech...

A więc „kpiarz totalny" sam tu sobie zaprzecza? Może kpina była tylko formą samoobrony?

Gdym był u Birota, uderzyło mnie, że ten pisarz, malarz i grafik w jednej osobie traktuje sprawy sztuki niezwykle sumiennie, wręcz fanatycznie. On sam drukował sobie niektóre swe książki, by nadać im całkowicie precyzyjną formę graficzną. Przesada? Na pewno. Ale już nie przesadą była bezkompromisowość, nie pozwalająca na szukanie reklamy czy rezygnację z własnych środków.

Może więc także i u nas warto by było od czasu do czasu przetrząsać „ustalone" hierarchie literackich wartości, przeszukać zakamarki, w których się kryje niejeden wartościowy talent, nie umiejący zręcznie chwytać okazji i płynąć pod prąd, który nie wynosi, ale znosi.

*) Znalazłem o tym wzmiankę w eseju Władysława Dobrowolskiego, zawartym w książce „Cyganeria i polityka" („Czytelnik").

KRONIKA Antytelewizyjna

PRETENSJE P. MALINIAKA

Mój sąsiad p. Maliniak, który poza „Przeglądem Sportowym" i „Karuzelą" rzadko co czytuje, zjawił się u mnie z dwoma wycinkami gazetowymi. Widocznie ktoś mu je podsunął. Oba dotyczyły omówionej i przez nas przeróbki opowiadania Galsworthy'ego „Pierwszy i ostatni".

— Panie, jak to rozumieć? O tym samym przedstawieniu każdy z was pisze coś zupełnie innego! Proszę, niech pan to weźmie do ręki!

W wycinku z „Życia Warszawy" przeczytałem:

„...Nie każdy utwór prozatorski daje się zaadaptować do potrzeb sceny. W tym wypadku zamysł uwieńczony został powodzeniem... Krakowski teatr TV może ów spektakl wpisać między swoje osiągnięcia..."

— A teraz spójrz pan na to!

Zajrzałem do wycinka z „Dziennika Łódzkiego":

„...tekst momentami robił wrażenie żywcem czerpanego z ...Mniszkówny. Poza L. Herdegenem, wykonawcy reprezentowali słaby poziom. Raziły dłużyzny i „łopatologia" zakończenia..."

— I co pan na to?

— Różnica w opiniach jest na ogół czymś naturalnym, kochany Franusiu!

— Tylko bez tej poufałości, panie literacie!

(Do licha, za późno przypomniałem sobie, że na próżno proponowałem kiedyś brudzia panu Maliniakowi: on, mimo skromniutkiej pensji, ma świetnie urządzone mieszkanie, ma wartburga, często urządza przyjęcia, gromadząc dość dziwnych gości: ludzi o nieokreślonej pozycji jak i osoby z miejscowego życia politycznego, a ja? Cóż, jestem według niego zwyczajnym frajerem!)

— Serdecznie pana przepraszam, panie Maliniak za tę gafę towarzyską! Niech pan mi ją wspaniałomyślnie wybaczy!... Otóż opinie rzadko kiedy się zgadzają. Tak jest w życiu artystycznym, tak jest w życiu społeczno — politycznym... Inna rzecz, że w tym konkretnym wypadku rzeczywiście rozbieżność zdań jest zbyt jaskrawa, jestem przekonany, że zestawienie z Mniszkówną to jednak nonszalancja.

A potem powołałem się na „Przekrój", który wymyślił nową zabawę dla swoich czytelników: publikuje ujemne opinie o dziełach sztuki i literatury, które dziś uchodzą za wartości bezsporne.

— E, lepiej za często się z wami nie zadawać! — przerwał moje komentarze pan Maliniak, pozbawiając mnie swojego towarzystwa. A ja pomyślałem o możliwości jeszcze oryginalniejszej zabawy, niż ta w „Przekroju". O wyszukiwaniu opinii, które nadmiernie przeceniały aktualnych twórców. Z różnych przyczyn: ze względu na ich spryt, sytuację towarzyską, pozycję polityczno — społeczną, a nieraz po prostu w dobrej wierze.

Oto — co było na pewno gestem bezinteresownym, choć stanowiło pomyłkę — sam Adam Mickiewicz jakże przesadzał w ocenach, wystawianych niektórym współczesnym mu poetom, by wspomnieć Bohdana Zaleskiego: „Zaleski niewątpliwie jest największym ze wszystkich poetów słowiańskich: rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetycznego Słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej..."

Oczywiście nie znaczy to, by wszyscy ujemnie oceniani mieli prawo liczyć na to, że czas odda im kiedyś sprawiedliwość.

Co się tyczy opinii ujemnych, to z ich wyszukiwaniem nie ma kłopotu. Właśnie wyszło nowe wydanie „Słówek" Boya. Henryk Galle — człowiek poważny, niejedno młode pokolenie ślęczało nad jego podręcznikiem stylistyki — „Piosenkom i fraszkom Zielonego Balonika" (Tygodnik Ilustrowany, 1908) taki przepowiadał los: „...i pójdą w niepamięć piosenki „Zielonego Balonika", bo niemasz w nich nic, coby dało im byt dłuższy nad żywot motyli..."

A co wolą najbardziej zainteresowani czyli twórcy? Sądząc z mrówczych zabiegów niektórych znajomych, raczej wymuszone na różne sposoby pochwały, niż rozsądną krytykę.

Bardzo przepraszam, że przez p. Maliniaka muszę ograniczyć część sprawozdawczą niniejszego felietonu. Zresztą, bez większego żalu. „Kandyd" to tylko sceniczne ilustracje, a więc błąd w samym założeniu. Wolę to dziełko czytać. Mamy zresztą w paru tomikach przejawy współczesnego „Kandyda", myślę o dowcipnych i przewrotnych książeczkach filozofa Leszka Kołakowskiego.

„Zło krąży" Jacquesa Audibertiego, aczkolwiek dobrze napisane, było zwyczajnie nudne, zawierało kilka pomysłowych żartów, ale co z tego? Żart jako całość, inteligentnie w przedmowie zinterpretowany przez Leszka Budreckiego, trwał o wiele za długo. Nudy nie rozproszyli doskonale spisujący się aktorzy łódzcy: Wanda Chwiałkowska, Bohdana Majda, Ludwik Benoit, Zygmunt Zintel, Krzysztof Chamiec, Janusz Kłosiński, Eugeniusz Kamiński.

Toż to „Król IV" Stanisława Grochowiaka, pokazany w lipcu 1965 roku przez Teatr Wybrzeża, był czymś bez porównania bogatszym i zabawniejszym.

A w ogóle ileż to mamy utworów godnych przypomnienia! Czemu na przykład nikt dotąd, o ile mi wiadomo, nie pokusił się o sceniczne sprawdzenie sztuk jednego z najwybitniejszych dramaturgów, K. H. Rostworowskiego (1877 — 1938)? Dobrze, że przynajmniej krakowskie Wyd. Literackie zapowiedziało książkowe wydanie jego utworów!

Pozostaje jeszcze do wymienienia „Pegaz" Grzegorza Lasoty z piękną partią, poświęconą wspomnieniu Anny Achmatowej.

Niedziela upłynęła pod znakiem rozrywki. Więc „Listy śpiewające" Agnieszki Osieckiej, więc pierwszy z cyklu „Perły i dukaty" film Józefa Hena „Markiza de Pompadour", przetwarzający wypadek, który pamiętamy z jakiejś kroniki kryminalnej.

Jan Huszczy

GWOLI ŚCISŁOŚCI

Artykuł Mariana Piechala pt. „Mickiewicz pisał o Łodzi", był, co może zmartwi łodzian, primaaprilisowym żartem. Mickiewicz nie pisał o Łodzi. Nie powinno to w nas jednak pogłębiać lokalnego kompleksu zważywszy, że Mickiewicz nie pisał także o wielu innych miastach, w tym także o wielu stolicach dzisiejszych mocarstw. Nie jesteśmy więc sami na liście pominiętych, a już, broń Boże, nie możemy tego mieć za złe Naszemu Wieszczowi.

SPEKTAKLE tygodnia

Teatr

NOWY	„Jeszcze raz o miłości", 3 spektakle	1600 — 70%
	„Lato w Nohant", 4 spektakle	2800 — 100%
	„Bliźniaki z Wenecji", 1 spektakl	600 — 85%
NOWY Mała Sala	„Anioł na dworcu", 3 spektakle	580 — 97%
	„Indyk", 1 spektakl	200 — 100%
	„Lekcja", „Szaleństwo we dwoje", 2 spektakle	400 — 100%
JARACZA	„Kaukaskie koło kredowe", 3 spektakle	2010 — 100%
	„Ostatnia stacja", 5 spektakli	3349 — 100%
POWSZECHNY	„Tango", 3 spektakle	1980 — 99%
	„Robin Hood", 1 spektakl	660 — 99%
OPERETKA	„Sewastopolski walc", 6 spektakli	4917 — 73%
7.13	„Kłamczucha", 5 spektakli	1749 — 99%
	„Taka noc nie powtórzy się więcej", 1 spektakl	421 — 100%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Antygona", 7 spektakli	2140 — 100%
	„Anioł na dworcu", 4 spektakle	698 — 96%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne słuchaczy	815 — 55%

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

CWF-owski „Filmowy Serwis Prasowy" to doprawdy pasjonująca lektura. Szczególnie ciekawych uwag dostarcza na ogół w streszczeniach filmów. Sam scenarzysta i reżyser nie poznaliby często swego dzieła po takiej lekturze. Niedowład to czy perfidia anonimowego zespołu redakcyjnego? Znając obyczaje polskiej krytyki można by posądzić CWF o fortele. To zapewne obawa, że szanowni recenzenci filmowi mogliby przestać chodzić do kina, dyktuje im te zdumiewające streszczenia.

Tenże „Filmowy Serwis Prasowy" lansuje film Luciano Salce **„ZABŁĄKANA W RZYMIE"** jako komediodramat obyczajowy. Zaprawdę — wielka to przezorność. Wilk syty i owca cała. Panu Bogu świeczka i diabłu ogarek. Komedia i dramat. Ubaw i wielkie problemy. Wszyscy zadowoleni — nie ma się o co kłócić. Tylko w filmie wygląda to trochę inaczej. „Zabłakana w Rzymie" to przecież paszkwil na włoskie stosunki społeczno-gospodarcze. Na włoską moralność. I jeśli widz nie odczyta tego filmu w ten sposób, jeśli nie dostrzeże wszechobecnego w nim tonu urągania właściwego paszkwilom — będzie się czuł oszukany. Będzie podejrzliwy: film wyda mu się tak przesadzony, tak udziwniony, że gotów posądzić twórcę o nienormalność lub przeznaczenie filmu dla nienormalnych odbiorców. Jakież to sprawy włoskie podlegają druzgocącej krytyce? Gospodarka. — Przegraliśmy wojnę, ale mamy cud gospodarczy — mówi jeden z bohaterów. Niemniej Roselli — głównej bohaterce nie udaje się dostać, mimo rozpaczliwych prób, pracy, z wyjątkiem posady maszynistki z głodową pensją. Włoski cud ekonomiczny okazuje się wymysłem gazetowym, chwytem agitacyjno-reklamowym, który przysłonić ma fakt, że ożywienie rynku jest dziełem Ameryki, która doszczętnie sparaliżowała gospodarkę Italii. Włosi biorą się co prawda do interesów, ale wygląda to groteskowo. Visona opętany manią interesów i dysponujący milionami wniesionymi przez żonę, rzuca się ciągle do nowych interesów. Każdy z nich kończy się jednak fiaskiem, a Visona ląduje na koniec w więzieniu. Adwokat, który nie ma ani jednego klienta. Biuro reklamowe zlikwidowane w ciągu sekundy. Pisarz-profesor, który bez przerwy pisze to samo i nie stać go nawet na wyleczenie zębów. A jednocześnie w porcie stoją jachty, z których każdy kosztuje grube miliony. Skąd one, co robią ich zamerykanizowani właściciele — film nie mówi. Są jednak „interesy", które się opłacają. Są za to niebezpieczne. To np. atelier fotograficzne produkujące zdjęcia pornograficzne. To dla kobiet zła droga, na którą trafia jedna z koleżanek Roselli. To oszukiwanie obcych turystów. Tym możliwościom zarobku towarzyszy wszędzie upadek moralny. I to jest właśnie druga sprawa poddana druzgocącej krytyce — moralność. Straszna jest ta włoska rodzina, która łączy jedynie mieszkanie, jedzenie i telewizja. Skłócona, tępa, beznadziejnie idiotyczna. Tylko Rosella jest inna. Ale ponosi klęskę. A poza rodziną? Lesbijki, alfonsi i pederaści. W najlepszym razie panienki lekkich obyczajów. W najlepszym razie rozświntuszeni faceci o odrażającej powierzchowności i odrażającym wnętrzu — rozerotyzowani półdebile. Cóż to za kolekcja! Jedyny „pozytywny" partner Roselli — Giuliano, krytycznie nastawiony do rzeczywistości, młody, niegłupi i sympatyczny jest właściwie nikim. Swój bunt wyrazić może tym tylko, że nie pracuje; że w nic nie wierzy. Rosella jeszcze wierzy i to jest jej klęska. Rosella przegrywa, bo w tych warunkach musi przegrać. Tych dwoje, dobrych lecz bezsilnych pokochuje się. Czyżby Salce przestał urągać? Nie. Młodzi postanawiają popełnić samobójstwo. Ale nawet na to ich nie stać. Przypieczętowują swą miłość pod czołgiem, w czasie manewrów wojsk rakietowych. Straszny jest ów symbol naszych czasów, lecz żeby wszystko i wszystkich skompromitować do reszty, Salce z szatańską przekorą wprowadza chwyt jeszcze jeden. Pociski są nieszkodliwe — można im umknąć, jeśli dolatują do celu. Ale nie wszystkie trafiają. Manewry kończą się — o ironio! — niewypałami i pochwałą dowódcy („nawet mucha by nie umknęła"!).

Taki jest film „Zabłakana w Rzymie". Zjadliwy i urągliwy. Zaskakujący i ciekawy.

Miłośnikom westernu, łatwej, lekkiej rozrywki przybędzie wkrótce do obejrzenia amerykański film **„JEDEN PRZECIW WSZYSTKIM"**. Do wszystkich obowiązujących atrakcji westernu dodaje jeszcze jedną: sporą dozę komizmu. Reżyser George Marshall zrealizował ten film z dużym poczuciem humoru. Z daleko mniejszym jednak wyczuciem kolorystycznym. Kolory są w tym westernie wręcz jadowite. Pejzaże kłują oczy. To film znakomicie nadający się do telewizji. Sprowadzony do czerni i bieli zdecydowanie zyskałby na wartości. Co prawda widz straciłby wtedy okazję do zobaczenia Shirley Mac Laine z rudym końskim ogonem i ogorzałej cery Glenna Forda. Nie byłoby to jednak dla niego katastrofą. Aby być lojalną — przyznam, że „Jeden przeciw wszystkim" miał doskonałe recenzje na Zachodzie, gdzie pojawił się na ekranie równo osiem lat temu. Te lata opóźnienia, z jakim wkracza na nasze ekrany, zdecydowanie nie wyszły mu na zdrowie. Dziś trzeba uznać ten film po prostu za przeciętny. Zestarzał się więc i sam western Marshalla, i jego prasowe pochwały. Ale nie zestarzał się sam duch westernowej rozrywki. I chociaż widzieliśmy już wiele lepszych filmów tego gatunku, ten „chwyci" z pewnością także.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

GARNKI Z VALLAURIS

■ Małe miasteczko francuskie Vallauris ma swą bogatą tradycję rzemiosła ceramicznego. Obfite pokłady gliny były tu wykorzystywane od wieków dla wyrobu cegieł i przeróżnych naczyń. Ale po dwóch wojnach światowych rzemiosło ceramiczne w Vallauris mocno podupadło. Dopiero Picasso, który przyjechał tu w roku 1947, sprawił, że kunszt garncarski odżył tu w pełni.

Picasso w dwojaki sposób przyczynił się do rozsławienia ceramiki z Vallauris. Przez to, że na odbywających się tam co roku targach ceramicznych wystawiał naczynia gliniane według własnych projektów i przez to, że malował plakaty, które w całym świecie reklamowały artystyczne wyroby z Vallauris. Warsztat „Madoura" wykonuje stale całe serie ceramiczne według autoryzowanych projektów wielkiego malarza, ale i inne warsztaty garncarskie cieszą się dużym powodzeniem. W tej chwili w miasteczku czynnych jest około 100 zakładów garncarskich. Turysta, który przyjeżdża do Vallauris musi przechodzić ostrożnie ulicami miasteczka, aby nie potłuc ceramiki, która wystawiana jest wprost na ulicę. W centrum Vallauris, wśród kramów z garnkami, pod rozłożystymi gałęziami platanów stoi rzeźba Picassa „Mężczyzna z kozą", a naprzeciwko, w starym zamku, ściany kaplicy zdobi wielka malarska kompozycja Picassa „Wojna i pokój".

Jeden z plakatów Picassa, reklamujący wystawę ceramiczną.

JAK PRACUJE AGATHA CHRISTIE

■ Agatha Christie (Mary Clarissa Miller, ur. 1891 r.) jest pisarką, której książki cieszą się ogromną popularnością na całym świecie. Jej utwory tłumaczone są niemal na wszystkie języki, nawet na tak mało znany jak bengali. Napisała 63 powieści, 12 sztuk teatralnych, niezliczoną ilość opowiadań. Łączny nakład jej książek wydanych tylko w języku angielskim wynosi 300 milionów egzemplarzy. Agatha Christie urodziła się i spędziła pierwsze lata dzieciństwa w starym angielskim zamku położonym wśród dziewiczych lasów. Dziewczynkę do dziewiątego roku życia nie uczono ani czytać ani pisać. Jej matka uważała bowiem, że do tego wieku dziecko powinno rozwijać się odgrodzone zarówno od nauki jak i wpływu rówieśników. Ale dziewczynka nauczyła się czytać sama, po kryjomu.

Jej samotności w dzieciństwie należy chyba przypisać, że i dziś jeszcze Agatha Christie jest mało towarzyska, nie znosi zwłaszcza reporterów, a jeden z jej francuskich wydawców musiał czekać aż trzydzieści lat, by móc ją wreszcie poznać osobiście.

Pierwsze małżeństwo pisarki nie było udane. Złośliwi twierdzą nawet, że swych powieściowych bohaterów zaczęła okaleczać i uśmiercać dopiero w drugim roku swego niezbyt szczęśliwego małżeństwa. W roku 1930 pisarka wychodzi po raz drugi za mąż, za archeologa. Tym razem małżeństwo jest trwałe. Agatha Christie interesuje się pracami swego męża, towarzyszy mu w jego archeologicznych wyprawach, a zagadnienia archeologiczne stają się również tematami jej utworów. „Wychodźcie za mąż tylko za archeologów" — radzi pisarka kandydatkom do zamążpójścia — „Archeolog to jedyny typ mężczyzny, który będzie się wami tym bardziej interesował, im bardziej będziecie się starzały". Mąż pisarki jest uderzająco podobny do jej bohatera powieściowego Herculesa Poirot. Ma tak samo łysiejącą głowę, takież czarne wąsiki, z tym samym lekceważeniem odnosi się do wymagań mody. Co najdziwniejsze, że Agatha Christie stworzyła swego bohatera wcześniej niż poznała swego drugiego męża.

W jaki sposób powstają jej pasjonujące powieści? Agatha Christie nie rozstaje się nigdy z małym, szkolnym zeszycikiem. Zapisuje w nim pomysły, wątki akcji lub poszczególne epizody przyszłej książki. Pomysł powieści zajmuje w zeszyciku pisarki nie więcej jak dwie stroniczki. Z reguły, niemal aż do końca pisanej powieści, pisarka ma gotowe dwa różne warianty rozwiązania akcji. Ale sam proces tworzenia dzieła jest doprawdy oryginalny. Agatha Christie wchodzi do wanny i kładzie się w ciepłej wodzie. Obmyśla powieść jedząc jabłka. Jeden rozdział, jak twierdzi, kosztuje ją kilogram tych owoców. Gdy wychodzi z wanny po długich rozmyślaniach i zjedzeniu mnóstwa jabłek, zasiada natychmiast przy malutkim stoliczku do maszyny. Pisze trzema palcami obydwóch rąk. Wtedy nie namyśla się zupełnie nad przebiegiem akcji. Wszystko już obmyśliła w wannie.

Claude Monet: Portret syna, Michela, jeden z obrazów znalezionych w spichrzu.

BEZCENNE SKARBY SZTUKI W STARYM SPICHRZU

■ Michel-Jacques Monet, syn słynnego malarza impresjonisty Claude Moneta (nazwa impresjonizm pochodzi od jego obrazu „Impresja, wschód słońca") zginął w wypadku samochodowym 8 marca br. Miał dokładnie tyle lat, co jego ojciec Claude kiedy umierał, to jest 87.

Po otwarciu testamentu okazało się, że Michel—Jacques Monet zbiory odziedziczone po swym wielkim ojcu przekazał państwu. Przy realizacji postanowień testamentu dokonano zdumiewającego, wprost sensacyjnego odkrycia. Oto w starym spichrzu, należącym do Michel—Jacques Moneta znaleziono pozostające od lat, bez żadnego zabezpieczenia dziewięćdziesiąt dwa obrazy. Były tam płótna takich wielkich malarzy jak Renoir, Signac, Seurat i sam Monet. Zdumieni eksperci nie chcieli wierzyć własnym oczom, że takie skarby, wartości około czterech miliardów franków pozostawały bez opieki w starym spichrzu. Ponadto w opuszczonym domu w Giverny, gdzie pod koniec swego życia mieszkał Claude Monet znaleziono jego obrazy malowane w latach 1907-1923, a więc w tym okresie czasu kiedy artysta źle widział, bo cierpiał na chorobę oczu, jaskrę. Prawdopodobnie dlatego ani on sam, ani jego syn nie przypisywali tym dziełom większej wartości. Tymczasem dziś są one prawie bezcenne. Jeden z amerykańskich znawców sztuki Alfred Ball dopatruje się w tych dziełach początków taszyzmu. Obecnie obrazy zostały starannie zabezpieczone, a w pomieszczeniu, gdzie się znajdują założono kraty. Ponadto bezcennych płócien strzeże policja.

Dom w Giverny ma być przekształcony na muzeum Moneta.

PAŁAC HISTORII MUZYKI

■ W Moskwie znajduje się Muzeum im. Glinki, w którym zgromadzone są najprzeróżniejsze instrumenty muzyczne, artystów ludowych i orkiestr symfonicznych, rosyjskie, narodów ZSRR i zagraniczne, współczesne i takie które stanowią już tylko ciekawe zabytki muzealne. Znajduje się tam także zbiór rzadkich rękopisów muzycznych. Są ponadto ekspozycje odnoszące się do życia i twórczości radzieckich i zagranicznych kompozytorów i muzyków.

Rada budownictwa miejskiego w Moskwie zatwierdziła niedawno projekt nowego budynku dla tego muzeum, ponieważ budynek, w którym obecnie mieści się muzeum nie odpowiada już nowoczesnym wymaganiom. Nowy gmach, którego budowa rozpocznie się jeszcze w tym roku będzie przestronny i nowocześnie urządzony. Pierwsze piętro gmachu będzie prawie całkowicie przezroczyste. Tu będą biblioteka, czytelnia, sale dla prac naukowo-badawczych. Na drugim i trzecim piętrze będą pomieszczenia z niezbyt obfitym światłem, ponieważ jego nadmiar niszczy instrumenty i rękopisy. W głębi budynku znajdą się studia dla nagrywania i odtwarzania utworów muzycznych. Tu także będą specjalne kabiny dla indywidualnego słuchania muzyki.

TANTIEMY G.B.S. PRZYNOSZĄ MILIONY

■ Brytyjskie Muzeum w Londynie otrzymało do tej pory 646.417 funtów jako tantiemy za dzieła Georga Bernarda Shawa, zmarłego w 1950 roku.

Shaw zapisał tantiemy za swe prawa autorskie brytyjskiemu Muzeum, Królewskiej Akademii Sztuk Dramatycznych i Irlandzkiej Galerii Narodowej.

Ogromne dochody przynosi wciąż musical „My Fair Lady" będący przeróbką „Pigmaliona" Shawa, następnie sfilmowany. Zarówno musical jak i film cieszą się wielkim powodzeniem.

„PRZEBUDZENIE SIĘ RÓŻY"

■ Widowisko zrealizowane przez Gerarda Herzoga w telewizji francuskiej pt. „Przebudzenie się róży" jest jednym z trzech cyklu „Comedia". Pierwsze nadane zostało w styczniu 1963 roku. Seria tych przedstawień jest eksperymentem, gdyż aktorzy występujący w tych sztukach nie mają gotowego tekstu, a grają na zasadzie improwizacji. Aktorom podaje się tylko wątek akcji i określone sytuacje. Reszta należy już do inwencji grających.

W „Przebudzeniu się róży" dwoje zakochanych popełnia samobójstwo. Dziewczyna jednak zostaje odratowana w szpitalu. W widowisku w roli odratowanej samobójczyni wystąpiła młoda aktorka Edith Scob (ta sama która grała rolę Joanny d'Arc, o czym pisaliśmy poprzednio). Krytyka twierdzi, że eksperyment wypadł ciekawie, a reżyser uważa, że aktor nie skrępowany tekstem gra znacznie swobodniej, a widowisko robi wrażenie bardziej naturalne.

GRAHAM GREENE PISZE SCENARIUSZ

■ Znany angielski pisarz Graham Greene (ur. 1904, „Sedno sprawy", „Spokojny Amerykanin") pisze obecnie scenariusz według swej ostatniej powieści pt. „The Comedians". Jej akcja rozgrywa się na Haiti. Reżyserem filmu będzie Peter Glenville.

RADZIECKA PRODUKCJA FILMOWA W BIEŻĄCYM ROKU

■ 19 atelier filmowych ZSRR wyprodukuje w tym roku 124 pełnometrażowe filmy, z których 41 to będą filmy kolorowe. Tematyka filmów jest bardzo różna. Dziesięć będzie o tematyce historyczno — rewolucyjnej (w tym trzy filmy o Leninie), dziewiętnaście — to filmy historyczne i folklorystyczne, szesnaście filmów będzie o historii radzieckiego społeczeństwa w ciągu pięćdziesięciu lat jego rozwoju, trzydzieści dziewięć poświęconych zostanie tematyce wyłącznie współczesnej, siedemnaście filmów przypomni dzieje Wojny Ojczyźnianej, a 23 będą filmami o tematyce młodzieżowej i dziecięcej.

POLONICA

POLAŃSKI W ANGLII

Roman Polański, reżyser głośnego w swoim czasie filmu „Nóż w wodzie", który zyskał uznanie zarówno w kraju jak i za granicą, nakręcił w Londynie film pt. „Gdy przychodzi Katelbach". W lutym zaczął on pracę nad nowym filmem pt. „Zabójcy wampira", który ma być parodią kiczów kryminalno-sensacyjnych. W roli głównej wystąpi Jank McGorran. Krytycy wiele sobie obiecują po tym nowym filmie Polańskiego, którego zgodnie zaliczają do rzędu najzdolniejszych twórców filmowych młodego pokolenia.

„POPIOŁY" W BERLINIE ZACHODNIM

W Berlinie zachodnim wyświetlono na pokazie skróconą wersję „Popiołów„ które ukazały się tam pod tytułem „Die Legion". Recenzent „Die Welt", Manfred Delling, pisze w tym dzienniku 22 stycznia, między innymi: „Nikt, również poza granicami Polski, nie może nie zauważyć, jak wiele emocji i refleksji zawarto w kilku epizodach tego filmu. Jeśli nawet liczne aluzje i podteksty umykają uwagi niepolskiego widza, to jednak w rzeczy samej można zrozumieć i pojąć rozpaczliwe natężenie krytyki, jaką Wajda ujawnił w głównych epizodach swojego filmu. W tych momentach siła wzruszenia „Legionu" jest bardzo duża i nikt nie zaliczy dzieła Wajdy do klasy pospolitych filmów historycznych, jakich pełno na Zachodzie".

O MONICE WARNEŃSKIEJ W DETROIT

Zjazd literatów jaki odbył się w ubiegłym roku w Krakowie, zainteresował nie tylko nas w kraju, ale wywołał zrozumiałe zainteresowanie w kołach polonijnych. Wychodzący w Detroit „Głos Ludowy" w numerze 49 przynosi na pierwszej stronie artykuł poświęcony temu wydarzeniu. Ale nie same tezy, wysunięte na zjeździe, zainteresowały naszych ziomków, lecz przede wszystkim sprawy wojny wietnamskiej, o której mówiła na tym zjeździe Monika Warneńska.

Komentator gazety pisze: „Szczególny charakter miało wystąpienie Moniki Warneńskiej, poświęcone w całości walce narodu wietnamskiego przeciwko agresji amerykańskiej. Pisarka niedawno powróciła z Wietnamu — przedstawiła wstrząsający obraz skutków tej agresji".

Jest to głos tej części Polonii, która solidaryzuje się z wolnym narodem wietnamskim i która nie potrafiła zapomnieć podobnego barbarzyństwa jakiego dokonano w czasach ostatniej wojny na naszym narodzie.

(ei)

POLSCY AUTORZY ZDOBYWAJĄ RADZIECKICH CZYTELNIKÓW

W radzieckich zapowiedziach wydawniczych czytamy, że w ZSRR przygotowuje się wydanie kilku książek polskich autorów, które ukażą się w sprzedaży jeszcze w tym roku. Oto wykaz autorów i ich książek: T. Dołęga-Mostowicz: Kariera Nikodema Dyzmy, Dziadek Roch — Polskie pieśni ludowe dla dzieci. K. Szamanowski: Krakowiak na fortepian, J. Gerhard: Czas generała, Z. Załuski: Przepustka do historii A. Fiedler: Zdobywamy Amazonkę.

Jak wynika z powyższego zestawienia, nasi sąsiedzi ze Wschodu nie tylko przyswajają pozycje naszej literatury pięknej, ale sięgają do naszego folkloru i muzyki.

(ei)

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

XX Doroczna Wystawa Okręgu ZPAP w Łodzi imponuje wielką mnogością obrazów, stylów i autorów. Znalazły się na niej również prace znane z innych ekspozycji i zapadające w pamięć. Artyści prezentują oleje, gwasze, akwarele, grafiki, rysunki, gips, metal oraz kompozycje różnych innych materiałów, które niechaj pozostaną słodką tajemnicą twórców. Dożyliśmy czasów, w których każdy materiał jest dobry jeżeli służy wizji malarskiej.

Kilka ciekawych prac prezentuje najmłodsze pokolenie, co cieszy na równi z rozwojem starszych i znanych malarzy. Co cieszy zawsze i nieodmiennie jak nadejście wiosny.

A jaka będzie wiosna w tym roku?

WTOREK

O potrzebie organizowania Klubów Miłośników Książki wspominałem przy okazji omawiania działalności kulturalnej WKZZ. Klubów takich ani w mieście, ani w województwie nie mamy zbyt wiele. A szkoda, gdyż klub taki, skupiając miłujących książkę czytelników, spełnia poważną, kulturoodtwórczą a nawet niekiedy twórczą rolę. Wzajemna pomoc w wyszukiwaniu na rynku księgarskim wartościowych pozycji, wymiana poglądów na temat przeczytanych książek, dyskusje o treści, formie i wartościach światopoglądowych dzieła pisanego, odczyty z zakresu historii literatury, estetyki a nawet filozofii, spotkania z pisarzami — oto zarys działalności poważnie miłującego książkę klubu. Nie trzeba nikogo rozsądnego przekonywać o korzyściach jakie niesie czytelnictwu, pisarzom i kulturze narodowej tak postawiona i rozpowszechniona w klubach miłość do książki.

Klub Miłośników Książki przy księgarni w Radomsku udowadnia, że tak pojęty klub nie tylko kształci i uwrażliwia, lecz również wiele radości daje, radości płynącej z głębokiego i świadomego obcowania z dziełem, co bez mała równa się współtworzeniu. Kierowniczka księgarni p. Alicja Ząbkowa, prezes klubu p. mgr Ryszard Pajączek i wszyscy członkowie mogą być dumni z atmosfery, która panuje w ich klubie.

ŚRODA

Natomiast Międzyzakładowy Dom Kultury im. B. Znojka organizuje czytelniczo byłych pracowników — emerytów i rencistów. Ludzie w jesieni swego życia chętnie czytają, chociaż nie zawsze łatwo im to przychodzi. Dom Kultury daje miejsce do spotkań, rozmów, chóralnego śpiewu — daje książki. Dyrektor przybytku kultury ob. Halina Pabianowa darzy weteranów pracy prawdziwą sympatią, organizując imprezy, spotkania z pisarzami itp. Międzyzakładowy Dom Kultury pomaga ludziom, by w podeszłym wieku nie zapomnieli, że każdy wiek ma swoje uroki, jeżeli nie jest pozbawiony zainteresowań.

CZWARTEK

„Dyrekcja Muzeum Sztuki w Łodzi organizuje pośmiertną wystawę dzieł łódzkiego artysty Karola Hillera (1891—1939) — i zwraca się z uprzejmą prośbą do wszystkich, którzy mogą pomóc w organizacji tej wystawy, o udostępnienie posiadanych obrazów, grafik, heliografik, ekslibrysów, szkiców, rysunków, projektów, książek ilustrowanych przez K. Hillera, listów, wszelkich materiałów i pamiątek po zmarłym malarzu.

Zgłoszenia prosimy kierować do Działu Międzynarodowej Sztuki Nowoczesnej Muzeum Sztuki w Łodzi — ulica Więckowskiego 36, tel. 397-90, wewn. 13, godz. 9—15".

Słuszność sprawy i akcji oczywista. Dziwi jedynie i smuci fakt, że Karol Hiller (1891—1939) dopiero teraz „doczeka się" wystawy.

PIĄTEK

Zgodnie z zapowiedzią sygnalizuję następną nowość wydawniczą autora łódzkiego. „Potomkowie Tespisa", Jan Koprowski, Wyd. Poznańskie, stron 175.

Rozdział pierwszy, motto: Teatr to jest pożar.

W nim wszystko winno się palić.

Słowa pewnego aktora.

Rozdział piąty: Sumienie jest lustrem,

przed którym wierci się małpa.

Georg Buechner — Śmierć Dantona

Rozdział dwudziesty: Jutro jest odblaskiem dnia wczorajszego.

Herman Bahr — Teatr

SOBOTA

Wszędzie można coś cennego znaleźć. Ongiś trafiłem na warkocz... „Warkocz jesieni" w Zelowie. Od wiosny szukałem tej małej, pięknej książeczki z wierszami — nigdzie nie było. Od lat szukałem kogoś w mieście, w którym spotykałem setki obojętnych mi ludzi; aż nagle, niespodziewanie — w Łebie!

W Wieluniu „odkryto" cenny obraz neapolitańskiej szkoły z XVII w. Juliusza Cezarego Pracoccioni.

Każdy artysta chciałby ocalić od zapomnienia swoje dzieło; może nie każdy, ale przynajmniej ci, którzy za życia nie mogą tego dzieła dobrze sprzedać.

W związku z powyższym przyszła mi do głowy myśl przednia: po cóż ten ciągły trud straszliwy tworzenia dla potomności i ryzyko, skoro można znacznie łatwiej: na przykład zakopać „dzieło" głęboko w ziemię, w odpornym na czas opakowaniu. Co z tego? Przyszłe pokolenia wiercąc niebo i ziemię, natrafią wreszcie na paczkę, rozpakują i...

Wszystko, co wygrywa walkę z czasem staje się cenne. W każdym czasie można znaleźć coś, czego nie ma.

NIEDZIELA

„Około tysiąca zmumifikowanych zwłok kobiet różnych rodów Palermo zostało strawionych w nocy przez pożar, który wybuchł w katakumbach miejscowego kościoła Kapucynów... Ze wstępnego śledztwa wynika, że ogień został podłożony z zemsty". Z zemsty? Z jakiej zemsty?! Antyfeminizm do ostatniego pokolenia? A może to pragnienie ocalenia od przypomnienia; obłędna zemsta na czasie przemijającym?

T. Żołoża

R. JAROW

ZALĄŻEK CYWILIZACJI

Po dłuższych dyskusjach wyścigi maszyn czasu zostały w końcu oficjalnie uznane za dyscyplinę sportową i włączone do programu rozgrywek o mistrzostwo kraju w tzw. „sportach technicznych". Długotrwała, uporczywa walka prowadzona przez entuzjastów została uwieńczona sukcesem.

Kilka lat temu, gdy prasa codzienna doniosła o skonstruowaniu pierwszego, doświadczalnego modelu maszyny czasu, redakcje trzech najpoczytniejszych miesięczników popularnonaukowych prawie z dnia na dzień zanotowały, co najmniej czterokrotny wzrost liczby listów od czytelników. Redaktorzy tych miesięczników przez dłuższy czas zachowywali powściągliwe milczenie a potem, gdy burza już nieco ucichła, jednocześnie opublikowali w swych organach opisy amatorskich konstrukcji maszyn czasu i to od razu w trzech wersjach: sportowej, turystycznej i spacerowej. Opisy opatrzone zostały dokładnymi rysunkami na wielokolorowych wkładkach. Wkrótce też ukonstytuowała się Federacja Sportowa Podróży w Czasie. Jej honorowym przewodniczącym został wybrany stuczterdziestoośmioletni starzec, zorganizowano zawody w niewielkiej obsadzie, przy czym zawodnicy startowali na sprzęcie własnej konstrukcji. Nic więc dziwnego, że wyniki nie były rewelacyjne: zdobywca pierwszego miejsca dotarł zaledwie do szesnastego wieku. A trzeba wiedzieć, że ówczesny rekordzista świata osiągnął już pierwszy wiek naszej ery.

Agencje prasowe nieoczekiwanie doniosły ze Szwecji, że dziewiętnastoletni zawodnik Jorgen Jorgenssen przeszedł dwadzieścia cztery wieki w czasie trzech godzin, osiemnastu minut, czterdziestu ośmiu i trzech dziesiątych sekundy. W sportowym światku zawrzało. Odpowiedzią na tę wiadomość był artykuł wydrukowany w czołowym czasopiśmie sportowym. Całostronicowy nagłówek, złożony ogromnymi czcionkami, głosił: „Odzyskamy utraconą sławę". Główną tezą artykułu była krytyka pod adresem fabryk produkujących doskonałe maszyny czasu dla celów naukowych i zupełnie nie dbających o potrzeby sportu wyczynowego. Krytyka poskutkowała. Wyprodukowano kilka prototypowych maszyn czasu w wersji sportowej i fabryczni „oblatywacze" osiągnęli na nich rekordowe wyniki. Dopiero wówczas podjęto decyzję włączenia wyścigów w głąb czasu do programu Spartakiady Sportów Technicznych.

Tłumy ludzi waliły od stacji metra w kierunku stadionu. Dźwiękowe programy w rękach sprzedawców popiskiwały chórem: „Ostatni bieg!" Wyścigi na odległość w czasie! Startują: Wasyl Fiedosiejew, Konstanty Paramonow!..." Świeciło słonecznie, grzmiała muzyczka, po chodnikach szurały niezliczone podeszwy, pod nogami kręciły się całe tabuny dzieciarni. Wszystkim było wesoło i wszyscy dyskutowali.

— Paramonow ma stalowe nerwy, idealne wyczucie rytmu i kondycję! A czym może się pochwalić taki Fiedosiejew?

— A jednak miał niezłe wyniki na treningach w Suchumi...

— Paramonow! Paramonow! Co ten Paramonow potrafi! Fiedosiejew, to jest dopiero zawodnik!

— Daj pan spokój z tym Fiedosiejewem...

Fachowość kibiców przyprawiała o zawrót głowy. Cała gałąź nauki, wraz z hipotezami i eksperymentami, z nieodpartą logiką dowodzeń, z własną metodologią i antagonistycznymi szkołami, rozwijała się na przestrzeni między stacją metra i bramami stadionu.

Na afiszu ku szczytom sławy wzlatywali ubrani w błękitne dresy zawodnicy a wokół nich, wzdłuż spirali, rozwijały się Ateny i Sparta, Rzym, Kartagina, Bizancjum, Dżengis-Chan i Napoleon. Według zamysłu plastyka spirala ta miała przedstawiać całą głębię historii ludzkości. Inna sprawa, że zawodnicy w czasie biegu żadnego z tych krajów czy ludzi zobaczyć nie mogli. Zatrzymywanie się na trasie było kategorycznie zabronione.

Zawodnicy oczekiwali na sygnał startera na żużlowej bieżni stadionu. Stali gdzie komu było wygodniej, jako że wymagano od nich tylko punktualnego startu, miejsce zaś startu było najzupełniej obojętne. Trener Fiedosiejewa, posiwiały w bojach weteran, który zaczynał swą karierę od oblatywania pierwszych, eksperymentalnych modeli maszyn czasu, obmacywał jakieś śrubki na kadłubie aparatu i jednocześnie szeptał swemu podopiecznemu na ucho „ostatnie błogosławieństwa".

— Przede wszystkim zachowaj równomierne tempo. Masz temperament, ale początkowo staraj się go pohamować. Poczekaj aż wejdziesz w odpowiedni rytm, a potem wal już na całego. Kostia nie jest zbyt groźny, nie wyczuwa tempa. Pamiętaj o tym. No i nie zapominaj o napędzie plazmowym...

Zrzucił kraciastą marynarkę na ręce młodych adeptów sportu, nie odstępujących go na krok. Potężna ręka trenera obciągnięta rękawem sportowej koszulki legła na ramieniu Wasi.

Po bieżni niespokojnie przechadzał się szczupły młodzieniec w okularach. Był to aspirant, historyk wyspecjalizowany w zagadnieniach trasy biegu. Działaczem sportowym został po ukończeniu studiów uniwersyteckich. Ściskał ręce zmieszanym zawodnikom i obejmował ich. „Błagam, nie zatrzymujcie się na trasie — powtarzał. — Pod żadnym pozorem nie pojawiajcie się w przeszłości..."

Sędziowie zajęli stanowiska kontrolne wzdłuż trasy. A ponieważ utrzymanie pracującej maszyny w określonym punkcie czasoprzestrzeni jest praktycznie niemożliwe („rozrzut" dochodzi do plus minus dziesięciu sekund) ich postacie wyglądały jak widma pojawiające się wśród obłoków. Majaczyły one na przestrzeni całej historii człowieczeństwa i były przyjmowane za zjawiska przyrody lub groźne „znaki" zwiastujące rozliczne nieszczęścia. W XVIII wieku eleganccy filozofowie, śmiejąc się z zabobonów, rozprawiali o załamaniu światła w atmosferze. Dwa stulecia dalej wleczono na stos czarownice i heretyków. Jeszcze dalej wodzowie koczowników cieszyli się widząc ich na niebie, bo jeździec na koniu oznaczał pomyślne zakończenie wyprawy wojennej, bogate łupy i wielu niewolników. A przy samym końcu trasy, na granicy zasięgu maszyn określonym przez ich dane konstrukcyjne, siwowłosi prorocy wznosząc ku niebu szponiaste ręce i potrząsając długimi brodami, pomstowali na upadek obyczajów i bezprawie świata tego.

Zawody w szybkościowych podróżach w czasie nie należą do kategorii sportów widowiskowych. Zawodnicy znikneli natychmiast po strzale startera. Walka tocząca się na trasie była niewidoczna dla publiczności, podobnie jak w maratonie, gdzie upadający ze zmęczenia biegacze walczą na drogach daleko od trybun stadionu. Zaczęły się zawody lekkoatletyczne i wszyscy, oprócz trenerów, przestali myśleć o ludziach zagłębiających się w otchłań wieków.

Pierwszy zawodnik pojawił się zupełnie niespodziewanie. Początkowo wibracja przeszkadzała w rozpoznaniu, lecz za chwilę stało się jasne, że był to Paramonow. Wreszcie Kostia zmaterializował się całkowicie. Trener podbiegł do swego wychowanka, radośnie go objął, pomógł zdjąć ozdobioną piórkami kurtkę oraz hełm. We dwójkę odciągnęli maszynę do boksu i zaczęli oczekiwać na pozostałych uczestników biegu. Zapaliły się cyfry na tablicy świetlnej, spiker podał czas i dodał, jak gdyby z powściągliwym zachwytem w głosie: „znakomity wynik". Trybuny zafalowały. Zwolennicy Fiedosiejewa opuścili głowy.

Zawodnicy pojawiali się jeden za drugim. Nawet zdecydowani outsiderzy znajdowali się już na bieżni. A Fiedosiejewa ciągle nie było. Kolegium sędziowskie połączyło się z kontrolerami trasy. Nie dowiedziano się niczego. Trener Fiedosiejewa założył marynarkę i zażądał umieszczenia w protokóle komisji sędziowskiej uwagi o złej organizacji zawodów. Historyk w zdenerwowaniu miotał się po całym stadionie. I dopiero gdy przygotowano do startu potężną maszynę czasu pogotowia ratunkowego, pojawił się blady, zmęczony Fiedosiejew. Jego błękitne oczy zmętniały, jasne włosy były pokryte kurzem, niewielka bródka była przekrzywiona na bok a twarz, zwykle dobroduszna, przybrała wyraz uduchowienia właściwy raczej dla pustelników. Trener rzucił się do niego.

— Co się stało? — krzyknął. — Gdzie ugrzęzłeś?

— Awaria — powiedział zmęczonym głosem Wasia.

— I pan zatrzymywał się? — przestraszył się historyk.

— Na krótko.

— Gdzie, w którym wieku?

— Niech pan spojrzy na tablicę rozdzielczą.

Trener spojrzał na przyrządy pokładowe. Strzałka wskaźnika stała na trzydziestym trzecim wieku przed naszą erą.

— Taki rekord zaprzepaściłeś! — machnął ręką trener. — Ech, ty!

Odwrócił się i powlókł gdzie oczy poniosą.

Za niezgodne z regulaminem zatrzymanie się na trasie Wasia został na kilka miesięcy zdyskwalifikowany. Ponieważ jednak nie wyobrażał sobie życia bez sportu, nie przestał chodzić na treningi, słuchał wskazówek trenera i wykładów historyka. Inna sprawa, że trener znacznie ograniczył czas przeznaczony na zajęcia. Przygotowywał do druku książkę pod tytułem: „Podręcznik dla początkujących podróżników w czasie". Za to historyk starał się jak mógł. Przyprowadzał nawet na zajęcia swego kolegę, absolwenta matematyki, który próbował wyjaśniać zawodnikom zasady poruszania się w czasie z punktu widzenia teorii przestrzeni pośrednich i prawdopodobieństwa ujemnego.

Pewnego dnia historyk zaprowadził wszystkich swoich podopiecznych do muzeum archeologicznego, aby zapoznać ich z przedmiotami charakterystycznymi dla poszczególnych odcinków trasy, z różnymi krzemiennymi toporkami, urnami grobowymi, karocami... Spacer przez jasno oświetlone sale muzeum dawał wrażenia porównywalne z doznaniami zawodnika podczas wyścigu maszyn czasu, z tą różnicą, że w muzeum można więcej zobaczyć. Przy jednej z gablotek, kryjącej w sobie niczym nie wyróżniający się przedmiocik, Wasia nagle zatrzymał się. Koledzy odeszli już daleko do przodu, a on

ciągle stał, patrzył i w żaden sposób nie mógł się oderwać. Historyk wrócił i podszedł do niego. W głębi duszy współczuł Wasi, sam marzył o porywających wyprawach w przeszłość, ale nie mógł zostać zawodnikiem ponieważ w żaden sposób nie potrafił nauczyć się robienia stójki na rękach.

— No i na co tak patrzysz? — Wziął Wasię delikatnie za łokieć. — Zwyczajny przedmiot kultowy z epoki późnego neolitu. Został znaleziony w podziemiach świątyni, podczas wykopalisk na terenie stolicy starożytnego królestwa Tlen-Tse. Tu masz, zresztą, wszystko napisane...

— Ależ nie — zmieszał się Wasia. — To jest moja zapalniczka.

— Coo? — Oczy historyka zrobiły się tak okrągłe, jak gdyby nagle zobaczył żywego Faraona.

— No tak...

— Jak to mogło się stać?...

— Pamiętasz mój ostatni bieg?... No ten, po którym mnie... Daleko wtedy zajechałem. I byłbym pierwszy i Paramonow prędzej by zobaczył własne uszy niż nagrodę, gdyby nie ciągło zasłonki fotonowej. Ciągnę i ciągnę a ono ani drgnie. Znowu ciągnę i znowu to samo. A szybkość miałem już wtedy kolosalną. Sam wiesz, jak to jest z niesterowaną maszyną. Nie zdążyłem okiem mrugnąć i już jesteś zdematerializowany. Trzeba było się zatrzymać. Całe szczęście, że narzędzia miałem zawsze ze sobą. Podniosłem maskę, patrzę — linka zupełnie przetarta, trzyma się na włosku. Zatarła się w prowadnicy. Mechanik za mocno dociągnął nakrętkę, a ja jeszcze ciągle szarpałem. Stoję i drapię się po głowie. Głupstwo zrobiłem, myślę sobie, trzeba było nie zatrzymywać się, a wracać powolutku do domu. Najwyżej rozpyliłbym się w czasie. Lepsze to, niż siedzieć i czekać na oklaski trzysta wieków przed własnymi narodzinami. Na boki nie oglądałem się — nie było kiedy. I nagle z lasu, a las tuż obok, nie dalej niż dziesięć kroków, wyskoczyły jakieś ludziki. Coś tam wrzeszczą. Podbiegli do mnie i buch na kolana. „Czego się wygłupiacie?" — pytam. Bełkocą coś niezrozumiałego. Gołe toto i bose, na grzbietach jakieś skóry. Poprosiłem o coś do picia. Przynieśli wodę w skórze. Skóra była brudna. Mówię do nich: „Trener nie pozwala nam pić surowej wody, nie macie przypadkiem przegotowanej?" Nie wiedzą o co chodzi. I nagle zrozumiałem, że oni nawet jeszcze ognia nie znają. Znalazłem kamień podobny do talerza, nalałem wody w zagłębienie, nazbierałem suchych patyków, zapaliłem ognisko. Zagotowałem, napiłem się. Pokazałem ludzikom porwaną linkę. Zrozumieli i przynieśli jakieś łyko. Zamontowałem je, pociągnąłem — trzyma! „Dziękuję chłopcy — mówię. — Macie tu na pamiątkę moją zapalniczkę. Będziecie mieć pieczone mięso i gotowaną wodę. Nie pijcie surowej, w wodzie żyją miliony rozmaitych mikrobów. Pokój! Przyjaźń!" I pognałem z powrotem. No i popatrz, byłem u nich może z dziesięć minut a tu, jak się okazało, przeszło ponad trzy godziny... Czekaj, co ci się stało?

Historyk schwycił Wasię za rękę i pociągnął do wyjścia. Pędzili po wyfroterowanej posadzce, a aspirant powtarzał przez zęby:

— Za mną! Za mną!

W domu historyk rzucił zdumionego Wasię na fotel, nerwowo wyszukał na regale broszurkę w fiołkowej okładce, pośpiesznie otworzył na potrzebnej stronie.

— Miałeś wtedy brodę, co?

Miałem — westchnął Wasia. — Malutką bródkę. Kazali zgolić „Nie przystoi".

— No to słuchaj.

I historyk zaczął czytać śpiewnym głosem, daleko odsunąwszy tomik od siebie:

— „Przyszedł do nas z nieba, potężny i rudobrody. Wielki i mądry rycerz, który nauczył nas łowić i więzić boski ogień. Podarował nam ducha władającego ogniem. I znowu powrócił do siebie, do nieba. Syn Słońca i Brat Księżyca..."

— To starożytne hymny znalezione w tej samej świątyni. Zrozumiałeś?

Wasia wzruszył ramionami.

— Przecież to o tobie! Przyszedłeś do nich z nieba i podarowałeś im ducha władającego ogniem. Tak oni mówią o twojej zapalniczce. Położyłeś podwaliny cywilizacji! Jesteś wielkim człowiekiem!

Wasia z trudem otworzył usta.

— To znaczy, że nie zapomnieli — powiedział. — Syn Słońca i Brat Księżyca...

— Tak jest! Tak to brzmi w przybliżonym przekładzie.

Historyk opisał to wydarzenie w wielu gazetach. „Szlachetny postępek", „Sportowiec zawsze pomoże", „Tak postępują prawdziwi ludzie". Wasia stał się sławny. Zaczął otrzymywać mnóstwo listów. Jego nazwisko stało się znane nawet ludziom nie interesującym się sportem. Przywrócono mu prawo startów i nasz bohater zaczął się intensywnie przygotowywać do kolejnych zawodów. A poza tym zaczęło go dręczyć pytanie: jak to się stało, że nie zauważył wiekopomnego faktu kładzenia podwalin cywilizacji?

Tak jest, zupełnie nie zadzierał nosa, pilnie uczęszczał na treningi i wszyscy byli z niego zadowoleni. Wszyscy z wyjątkiem trenera, który uważał, że jego wychowankowi brakuje bojowości. Cywilizacja cywilizacją, ale praca społeczna nie powinna przeszkadzać w osiąganiu sukcesów sportowych. Na zawodach zwycięstwo jest głównym i jedynym celem. Kłaść podwaliny cywilizacji można równie dobrze po zakończeniu biegu. Trener uważał nawet, że Wasia jako sportowiec nie rokuje żadnych nadziei. Ale przekonawszy się, jaki oddźwięk w społeczeństwie wywołał szlachetny postępek chłopaka, postanowił swoje poglądy zachować dla siebie. Opublikował nawet w prasie dwa artykuły na temat moralności.

Z rosyjskiego przełożył:

TADEUSZ GOSK

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

PSUJMY WINDY!

Jak się chce wyjść między ludzi, to trzeba się najpierw ubrać. Kolejne fazy ubierania się, zwłaszcza te wcześniejsze, są raczej nieapetyczne i nie przeznaczone dla gawiedzi. Wydaje mi się, że podobnie jest z pisaniem. Utwór gotowy do publikacji jest ostatnią, a nie pierwszą wersją, przeszedł już kilka, czasem bardzo wiele, przeróbek, poprawek, zabiegów kosmetycznych, które nie powinny wyjść poza kuchnię. Dlatego z trudem mogę sobie wyobrazić pisarza, posługującego się a vista maszyną do pisania. Wiem, że takich jest większość, wolno mi jednak nie rozumieć.

Nie wiem też, jak wygląda dyktowanie rodzącego się dopiero dzieła. Trzeba chyba bardzo mocno wierzyć w swe możliwości, nie mieć żadnych zwątpień, uważać każde wymyślone przez siebie słowo za najtrafniejsze i bardzo atrakcyjne. Trzeba też umieć nie wstydzić się aktu tworzenia, który zawsze przecież ma w sobie coś intymnego.

Nie o tym jednak chciałem, nie o psychologii twórczości, za duży wiatr na moją wełnę; chciałem o narzędziach, o surowcu, o kosztach materiałowych.

Ołówki, takie strugane scyzorykiem, przeżyły się już niemal zupełnie. Kosztowało toto parę groszików, służyło najmniej miesiąc, naturalnie w innych czasach, gdy drzewa w lasach rosły prosto, a oprawki do ołówków cięto wzdłuż słojów drewna, nie w poprzek. Tylko nerwowiec z monologu Tuwima temperował, temperował, aż nic nie zostało. Dziś człowiek nerwowy złamałby tuzin żyletek, scyzoryk powyginał w trąbkę, a tępy łeb ołówka „Klejnot" nawet by nie drgnął.

Na szczęście wymyślono długopisy. Nazwa naturalnie dla hecy, bo żaden długopis długo nie pisze. Można nim podpisać list, ale napisać listu nie można, choćby wkład był z prawdziwego komisu. Tyle, że kieszonki w marynarkach mamy pozalewane na lila, tyle, że wkład kosztuje już kilkanaście złotych, a po trzech dniach i tak trzeba go wyrzucić. Nikt nie obliczył, ile lasów zaoszczędziliśmy na ołówkach, ile setek tysięcy straciliśmy na bezwartościowe, podbarwione ciecze, serwowane nam przez gęstą sieć prywatnych spryciarzy.

Pozostaje jeszcze papier. Surowiec deficytowy, a coraz bardziej potrzebny. Zużycie wzrasta, wszystkie resorty wołają o papier, kultura chce papieru, handel papieru i tektury, przemysł tektury i papieru. Nie ma, surowiec limitowany, oszczędzajcie!

Proszę bardzo. Mądry gospodarz to oszczędny gospodarz. Ale oto dowiadujemy się przypadkowo, że największym w tej chwili zmartwieniem przemysłu papierniczego wcale nie jest surowiec, tylko fakt przestawiania się wielu odbiorców na stosowanie opakowań z cieńszych niż dotąd tektur!... Cieńsza tektura — mniej surowca. Oszczędność! Nie cieszycie się?

Nie, bo plan jest liczony w tonach. Cieńszej tektury trzeba zrobić znacznie więcej co do powierzchni, żeby otrzymać tę samą wagę. Cieńszą tekturą trudniej wykonać plan. Maszyny, przystosowane do tektury grubej, byłyby niewykorzystane, maszyny do tektury cienkiej — nie nadążą za planem. Trzeba na to więcej ludzi, większego funduszu płac. Fundusz to też plan: tyle wolno, więcej nie wolno.

Kiedyś był kawał o fabryce, produkującej tabliczki z napisem „winda zepsuta". Fabryka była wyspecjalizowana i miała swój plan. Trzeba było psuć windy, żeby fabryka nie straciła racji bytu, żeby nie wypadła z planu.

Sytuacja w przemyśle papierniczym to już nie kawał. Stosujemy nadal opakowania z grubej tektury, i to litej, zamiast — jak w większości krajów przemysłowych — pancernej (lekkiej, niestety — znów plan!), a pisarze latami czekają na możność pokazania P. T. Publiczności gotowych, wystrojonych, zapiętych na ostatni guzik arcydzieł...

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 349. IV. 66. E-2